Nr. 3. Rok I

We Lwowie 14. października 1882.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

„ZIARNO“ kosztuje:

W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**

„ kwartalnie: **3** „ — „ **3** „ **25 ct.**

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczają się INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę, tak miejscową jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.
tudzież wszystkie księgarnie.

☛ PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Warszawskie flaczki garnuszkowe!

Gandżabur ormiański!

Już nadeszły:

Kozina i Churut ormiański

Świeże i wędzone Pstrągi z Czeremosza.

FLACZKI warszawskie garnuszkowe gotowane na bulionie, a la Stępkowski, i

GANDŻABUR ormiański

podaje co Niedziele i Czwartki Restauracja

K. JANOWICZA

ulica Jagiellońska l. 4.

Kozina i Churut!

Świeże i wędzone Pstrągi z Czeremosza!

„CONCORDIA"

pierwszy lwowski zakład pogrzebowy

F. OPUCHLAK

plac Kapitulny liczba 3.

Urządza pogrzeby począwszy od najskromniejszych do najwspanialszych dla wszystkich stanów a wykonując ze znaną sumiennością jak najobszerniejsze zlecenia, uchyla wszelkie trudy pozostałej rodzinie.

Wszelkie przybory pogrzebowe są zawsze w jak największym wyborze na składzie.

Główny skład trumien kruszcowych hermetycznych

(co do jakości i trwałości niezrównane)

Trumny drewniane dębowe, politurowane, imitacje metalowych, obite aksamitem i atłasem. Materace do trumien, poduszki kapy atlasowe i adamaszkowe, satynowe mulowe i t. p.

Skład komisowy wieńców grobowych

metalowe, paciorkowe, z suchych i sztucznych kwiatów w bogatym wyborze, również szarfy i wstęgi do wieńców jedwabne, atłasowe i morowe z napisami i bez tychże.

Wieńce z żywych kwiatów wykonuje bez różnicy pory roku jak najspieszniej.

Zakład pogrzebowy „CONCORDIA" urządza także kompletne pogrzeby na prowincji. Wszelkie zamówienia z prowincji bez różnicy czasu (w dzień czy w nocy) wykonuje bezzwłocznie.

„CONCORDIA"

F. Opuchlak.

Istniejący od 14 lat

Zakład fryzjerski

M. REISCHERA

we Lwowie,

przy placu św. Ducha naprzeciw głównego odwachu l. 4.

poleca swój

Salon do golenia, strzyżenia włosów i fryzowania,

tudzież

roboty perukarskie dla dam i panów.

Tenże zakład ma na składzie wszelkie toaletowe przybory dla dam i mężczyzn

po cenach najumiarkowańszych.

Służba TELEFONICZNA

we Lwowie,

Podpisany ma zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, że na mocy udzielonej przez Wys. c. k. Rząd koncesji, przystępuje **przedsiębiorstwo telefoniczne** bezzwłocznie do budowy linii i urządzenia stacyj telefonicznych **we Lwowie z okolicą.**

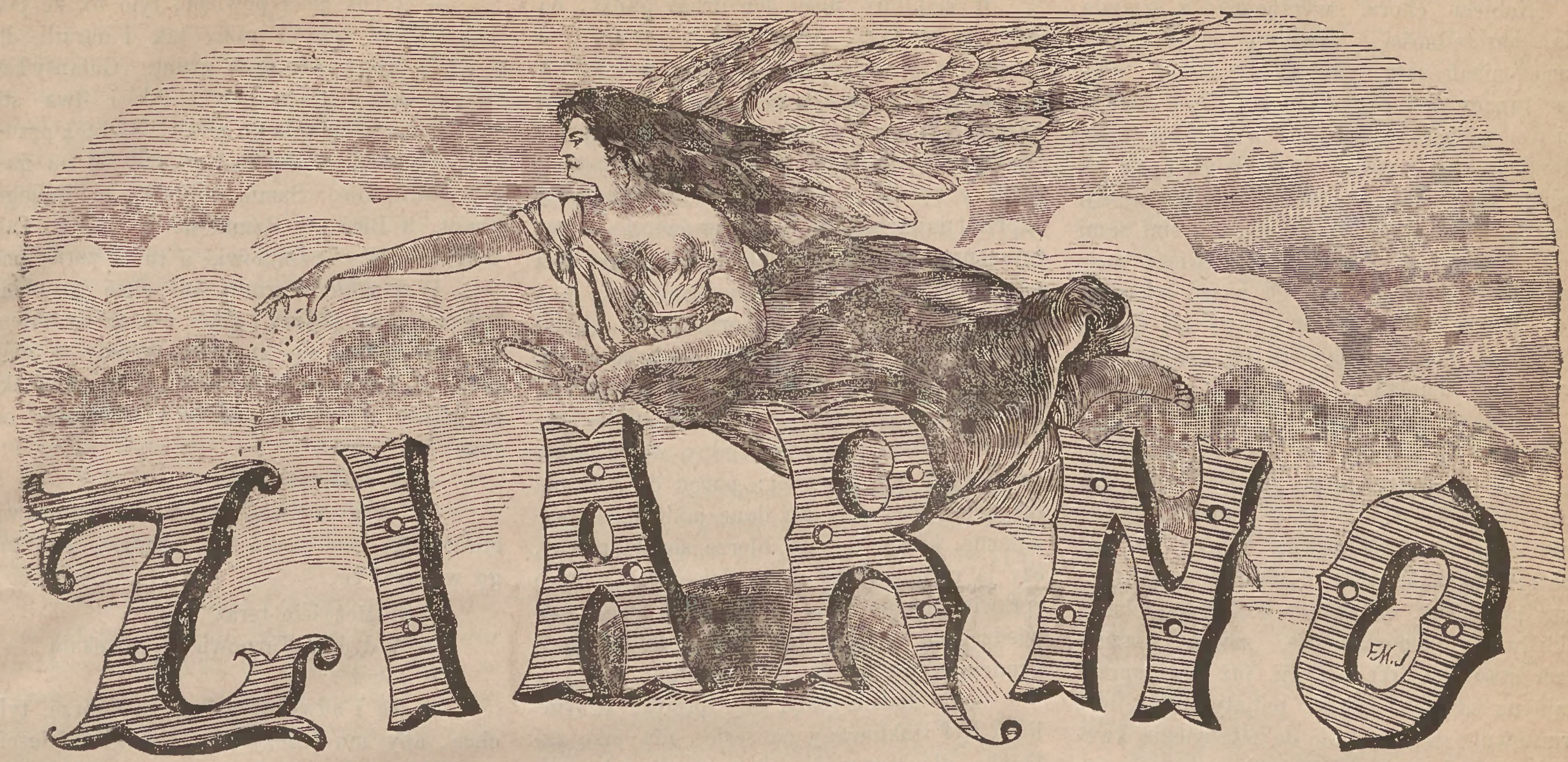
Cena **rocznego abonamentu** na stację telefoniczną, przy odległości tejże do dwóch kilometrów od biura centralnego, wynosi **90 zł.** Za każdy dalszy kilometr lub tegoż ułamek dopłaca się **20 zł.** Bezpośrednie połączenie dwóch stacyj, bez współudziału biura centralnego, kosztuje rocznie **140 zł.** na odległość dwóch kilometrów, za każdy dalszy kilometr dopłaca się 35 zł.

Bliższych szczegółów udziela podpisany w tymczasowym lokalu przedsiębiorstwa, **hotel Angielski Nr. 115**, a przyjmuje zamówienia abonentowe, o których wczesne zgłaszanie najuprzejmiej **uprasza.**

Władysław Dunin,

inżynier, reprezentant przedsiębiorstwa telefonów.

Nr. 3. We Lwowie dnia 14. Października 1882 r. **Rok I.**



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Pro miseris.

Ci co się znajdują u wyżyn drabiny społecznej, — die oberen Zehntausend — zaledwie wiedzą o tem, ile nędzy ich otacza do koła, ile istot ludzkich marnieje bezustannie u dołu, aby im — szczęśliwym — zrobić miejsce u góry.

Maltuzjanin patrzy na tę walkę o byt, wzdycha jak prawdziwy faryzeusz i objaśnia przemądrze, że ludność rośnie w progresji geometrycznej, środki zaś pożywienia tylko w arytmetycznej, stąd ciągłe przeludnienie ziemi, a zaś z przeludnienia — nędza, która pożera hekatomby ofiar, aby „wyrównać stosunek między żywnością a ludnością.“ Twarde prawo, żelazne prawo, — ale prawo natury, przeciw któremu rozum ludzki nie poradzi! tak mówi Malthus i jego zwolennicy.

Po Malthusie wielki Darwin wykazał, że owa „walka o byt“ toczy się nietylko między ludźmi, ale w całej w ogóle przyrodzie, wykazał szczegółowo prawa rządzące tą walką, wykazał wreszcie, że ta walka jest warunkiem koniecznym doskonalenia się gatunków, a więc postępu.

Stosując teorję do społeczeństwa ludzkiego, należałoby się cieszyć z owej walki o byt, gdyż ona prowadzi do postępu, przez nią ludzkość się doskonali. Dlaczegoż więc ludzie się bronią przeciw wrogim siłom, dlaczego nędzarz się żali, dlaczego dąży do lepszego bytu, zamiast czekać jak Budysta, rychło wejdzie w błogosławioną Nirwanę? Oto dlatego, że jednym z czynników w rozwoju społeczeństwa ludzkiego, obok innych sił przyrodzonych, jest także myśl ludzka, czucie ludzkie. Podczas gdy zwierzę, roślina, z tego, co się z niemi dzieje nie zdają sobie sprawy wcale, lub tylko bardzo niedokładnie, człowiek, istota myśląca, odczuwa wszystko, myśli o tem, i wiedziony popędem szmozachowawczym, obmyśla środki obrony, i nie mogąc walki o byt znieść całkowicie, stara się ją złagodzić, stara się uczynić ją mniej bolesną. Oto źródło tak zwanych, „kwestyj społecznych.“

Im raźniej rozwija się postęp, tem bardziej zaognia się walka o byt, tem więcej „kwestyj społecznych.“ Każdy nowy wynalazek techniczny, każde ulepszenie maszyn, wyrzuca na bruk tysiące egzystencyj ludzkich, które tworzą „armję rezerwową“ proletarjatu. Śmielibyśmy nawet twierdzić, że każdy nowy wynalazek, prócz tego, że mnótwo rąk ludzkich pozbawia pracy, a zatem sposobu do życia, wprost przerzedza szeregi ludzkie przez swoje zastosowanie: Byłoby to ciekawem zadaniem statystyki wyrachować np. o ile więcej ofiar życia wymaga transport osób koleją w stosunku do dawniejszych systemów komunikacji; każdy czytelnik gazet wie, ile nieszczęść sprowadza taki nawet wynalazek jak światło elektryczne, zanim się ludzie nauczą panować nad tą nową siłą. Jest coś demonicznego w tem prawie postępu!...

Przejawy, o których mówimy uwydatniają się najbardziej w krajach przemysłowych, zwłaszcza w wielkich miastach fabrycznych, gdzie się ludzie koncentrują, aby znaleść sposób do życia. Tam to namacalnie przekonać się można, jak w miarę postępu, w miarę wzrostu bogactw, rośnie także nędza ludzka, służąc niejako za folię zbytkom milionerów.

Lecz i u nas nie o wiele lepiej. Nie mamy wielkiego przemysłu, nie mamy Manczestrów ani Birminghamów, ale mamy latifundja, mamy lichwę bankową i prywatną, a lada nieurodzaj, lada ostra zima sprowadza na nas powódź nędzy i — kwestja społeczna, jak głowa meduzy, staje przed nami w całej swej okropności.

Kobieta chora, wyrzucona z szpitala dla oszczędności, zjedzona przez psy, warjat nieuleczalny podpalający domy, starzec ginący pod płotem, oto świeże fakta z dziejów naszej nędzy, wymowniejsze o wiele od wszystkich wywodów pseudouczonych, że Galicja jest „krajem rolniczym", że kwestji społecznej niema i t. p. bajek, któremi sami siebie okłamujemy. Statystyka zawiera wiele ciekawych cyfr, ilustrujących nasze twierdzenie, a taki n. p. Kraków, gdzie się skupia high - life galicyjski, zawiera także największy procent — dziadów!

W zachodniej Europie, gdzie kwestja społeczna od dawna już stoi na porządku dziennym, społeczeństwo sili się na jej załatwienie. W Anglii obok dobroczynności prywatnej, państwo gorliwie zajmuje się zaopatrywaniem ubogich i istnieje na to fundusz publiczny, zaś work - houses angielskie, jakkolwiek niedostateczne, zawsze jeszcze wzór stanowią. We Francji, już nie poprzestają na samych takich paljatywach, lecz gruntownie zabierają się do załatwienia kwestji socjalnej, a w Niemczech zabierają się do rozwiązania jednego z najtrudniejszych tej sprawy zagadnień t. j. do zabezpieczenia robotników.

U nas natomiast, długi czas zatykano sobie uszy na wołanie nędzy ludzkiej, i cieszono się „że my nie jesteśmy jako oni" — nie mamy kwestji społecznej.

Nareszcie — w obec jaskrawych faktów zabieramy się do dzieła, jak świadczy projekt założenia przytuliska dla kalek i starców.

Nie przywiązujemy zbyt wielkich nadziei do tej instytucji: Wiemy bardzo dobrze, że gdyby nawet kraj nasz posiadał więcej zasobów finansowych, niż niestety posiada, gdybyśmy mieli więcej ludzi zdolnych do przeprowadzenia takiego projektu, — słowem gdyby owe przytulisko doprowadzonem być mogło do możliwej doskonałości, zawsze ono pozostanie paljatywem, nędzy całkowicie nie usunie, kwestji socjalnej nie załatwi, nawet jednej części jej, części najważniejszej może: t. j. zaopatrzenia inwalidów pracy; część ta bowiem jest najtrudniejszą do załatwienia w danych warunkach. Wiemy jednak także, że instytucja taka racjonalnie przeprowadzona może zrobić wiele dobrego i przygotować grunt pod dalsze tego rodzaju urządzenia.

Dlatego chcielibyśmy aby: po pierwsze projekt „przytuliska" nie pozostał projektem; po drugie, aby był przeprowadzony w sposób taki, iżby przynieść mógł możliwie najwięcej korzyści, a zaś wolnym był od wad wprost szkodę, zamiast pożytku przynoszących.

Wyjaśnijmy nieco ten drugi punkt, bo jest on ważny. Nasze społeczeństwo, a zwłaszcza sfery nadające mu kierunek, cierpi na dwie wady bardzo niebezpieczne, przedewszystkiem — oto najpoważniejsza rzecz przechodzi u nas niesłychanie łatwo w prosty sport: Chcemy zaradzić, jakiejś klęsce, to tworzymy naprzód najniepotrzebniejsze w świecie stowarzyszenia i komitety, wybieramy prezesów i sekretarzy, odbywamy posiedzenia i t. d. i bawimy się przytem wybornie, ale skutki powodzi, czy ognia, czy głodu, jak były tak są.

Drugą wadą naszą jest to, co Spencer nazywa „must — do — something — impulse" (wyraz nieco trudny do oddania po polsku; mniej więcej: popęd do robienia czegoś koniecznie). Na dane jakie hasło popularne, każdy u nas bierze się do rzeczy, czy ją rozumie, czy nie; udziela rad, choć o sprawie nic nie wie, oddaje głos swój, nie wiedząc za czem, i tak często najlepszą w gruncie rzecz spacza się i zepsuje.

Otóż chcielibyśmy, aby projekt przytuliska był traktowany na serjo, nie jako zabawka dla starszych już a poważnych pań, aby nie był użytym do postronnych zamiarów jakiej pobożnej korporacji, i aby się do niego nie wtrącali ludzie, niemający wyobrażenia o rzeczy.

To w tem miejscu chcieliśmy zaznaczyć.

Forward.

Z TAJEMNIC WIOSKI.

NOWELLA

przez

SEWERA.

(Ciąg dalszy).

Burza obudziła Zyzmę, zerwał się i wyglądał oknem układając projekta wyprawy. Widocznie jakaś szczęśliwa myśl rozwarła mu do uśmiechu usta... Wychodził, gdy we drzwiach ukazała się frasobliwa twarz Zawrzykrajki, a za nią uśmiechnięta buzia Kasi.

— O mój Zyzmusiu, ratujże mnie, ratuj, — mówiła lamentując kobieta i zmęczona obcierając chustką pot z bladej twarzy, zsunęła się na ławę.

Zyzma się wyprostował, wydął nieco policzki, marsa postawił i rzekł z powagą:

— Mówcie matko, jak to było.

— A cóż ja ci powiem, a czyż to nie wiesz, że mnie Szmul Miechowicki z Biesiem tak ciężko skrzywdzili! Mój od tego zmartwienia zwarjował, pomarł, i zostawił nas z dziewuchą sieroty, że nie mamy kęsa chleba do ust włożyć.

— Mówcie dokumentnie po kolei, od samego początku.

— A cóż ja ci powiem, tylo to, że jak nam ludzie zaczęli raić, tak i naraili do kupna w Miechowiczkach grunt. Galanty kawałek ziemi, dwie morgi łąk i dwa sta wierzb do obcinania na płoty! No któż przeczuł, że żyd z chłopem spiknęli się na nasze zatracenie. Szmul mówił, że to jego grunt, a Bieś, że Szmulowi sprzedał. Tak i zapłaciliśmy Szmulowi, a tu ci zaraz potem Bieś zabiera grunt, nie chce go oddać i jeszcze nas skarży, jako my ze Szmulem na jego zgubę się zmówili. Wtedy to mój zwarjował i pomarł, a Szmul Miechowicki za jakieś ta weksle siedzi w więzieniu od roku.

— A któż wygrał?

— Ludzie mówią, że za mną jest prawo, ale Sobek Bieś siedzi na gruncie, bo któż go wypędzi?...

— Gdzieżeście teraz byli?

— A dyć w Tarnowie u adwokata.

— I cóż?

— No i adwokat mówił że dobrze, tylo chce, aby mu położyć na stole dwadzieścia papierków. A skąd ja je wezmę, jedną krowinę ino mam, i z niej tę kapkę mleka dla dziewuchy.

Łzy nowym strumieniem wytrysły z oczu kobiety.

— Adwokat nie chce zborgować?

— Dobry człowiek, choć do rany przyłóż, ale cóż kiej sam nie ma. Jak go zaczęłam prosić i molestować, to mi opuścił dziesiątkę, ale drugą kazał przynieść na stemple. Oj, oj, dobrze go ludzie naciągnęli, to i nie dziwota, że się teraz boi.

— Będziecie na jarmarku w Szczurowy?

— Mam tam odrobinę masła, to je poniosę.

— Szukajcie mnie po jarmarku. Co ja się muszę napracować, zanim zarobię parę centów. Ja się sam głodzę, ja sobie żałuję na koszulę! Ja jestem biedny, biedniejszy jak wy — zawołał z pewnym rodzajem wyrzutu, ale... — popatrzał na Kasię i pogłaskał ją ręką po twarzy. — No, no szukajcie mnie po jarmarku, będzie jak Bóg da!

Nusunął na kij chałat i worek, wziął koszyk, uśmiechnął się do Kasi i wyszedł, idąc szeroką ulicą wioski wysadzonej wierzbami do dworu. Nie wstępował nigdzie, tu było wykupione wszystko, co było do kupienia i zabrane wszystko co było do zabrania.

Obszedł ogród i wśród zabudowań dworskich szczęśliwie dobił do starej kuchni, wywołał z niej kredensowego chłopca, i posłał go po lokaja.

— Powiedz, że Zyzma przyszedł po gazety — wołał za biegnącym.

Za chwilę ukazał się pan Marcin, powaga w starej i nowej kuchni jako też i

kredensie. Za nim chłopiec niósł plikę papieru zadrukowanego. We drzwiach stanęła gospodyni z podpartemi pod bok rękami, z po za jej pleców wyglądała kucharka, a od strony studni zbliżał się fornal od cugowych koni. Wszystko to łakome na politykę i wiadomości z gazet.

— No, no mó żydku jak taki sztuk papieru przeczytasz, to ci chyba głowa spuch nie — mówił łaskawie pan Marcin.

— Co nie mam przeczytać — odparł Zyzma z dumą.

— Ja co przecie jestem biegły w mowie i arakterze — tu pan Marcin spojrzał na otoczenie mrugając szczególnie oczami, — a mogłoby mi się przewrócić we łbie.

— Bo pewno, papierzysków moc — świadczyła gospodyni. — Jak to tam ludzie mogą tyle wypisać.

— Ha maszynami i to parowemi — zdecydował pan Marcin, jako biegły w mowie i arakterze. A że to, co powiedział, było uważane w starej kuchni w połowie za wyrocznię, nie protestowano. Zyzma się tylko uśmiechnął.

— Macie ostatnią gazetę? — spytał.

— I to niemiecką — zawołał pan Marcin — niema trzech dni ak przyszła.

Zyzma odebrał papiery, wyjął z zanadrza trzy dwucentowe cygara, i podał je panu Marcinowi.

— Przeczytałbyś co i opowiedział — przemówiła gospodyni.

— Niema tam pani troszkę kości? zagadnął Zyzma.

— O jak się to zaraz żydowska natura odzywa. U niego nic darmo. Hanka wynieś mu tam te pół koszyka kości.

— Żyd na ten przykład musi być żydem — zawyrokował pan Marcin.

Hanka wyniosła kości, sypiąc je do żydowskiego worka. Zyzma siadł na wywróconych takach. Obok niego umieścił się pan Marcin; gospodyni sparła się na konewce, i rozpoczęły się debaty polityczne na temat tłumaczoych przez Zyzmę telegramów z „Nowej Pressy“ wiedeńskiej.

— Pani idzie! — zawołała Hanka.

— Doczytasz wieczór, szepnął Marcin.

Gospodyni zniknęła w starej kuchni; pan Marcin wrócił do kredensu, a Zyzma wrzuciwszy do worka papiery, ścieżkami wśród błonia, kładkami przez strumyki, olszowemi gajami, a dobrze znaną sobie drogą szedł do Miechowiczek.

Idąc czytał a raczej pochłaniał łakomie druk; siadał, odpoczywał i znów szedł, a czytał wciąż. Gdy skończył jedną gazetę, wyjmował drugą — i znów czytał. Ta druga był to „Dziennik Polski“ ze Lwowa. — Zyzma lubił to pismo.

Namiętność do czytania wyrobili w nim nauczyciel — proboszcz, pan Marcin — a poprzednio jeszcze ojciec.

Aron nazwał ojca Zyzmy przeklętym „apokorsą“. Nie omylił się. Zbankrutowany kupiec lwowski po śmierci żony i dziecka, zmarłych na cholerę — znalazł się niespodzianie w okolicach Szczurowy z małym Zyzmą. Za resztę pozostałej mu po bankructwie gotówki, kupił w Dołędze porządną chatę — zaczął handlować zbożem, a ożenił się z panną Sarą Jumą, córką Pojawskiego rzeźnika. — I dobrzeby mu się powodziło, gdyby nie duch opozycji i namiętność do walki za swe przekonania.

Żydzi, rozproszeni po wioskach Galicji prawie bez wyjątku zostają pod panowaniem Husytów. Ojciec Zyzmy wiedział, że się znajduje w gnieździe husytyzmu, a mimo to palił w szabas cygaro, a w powszedni dzień jadał chleb z solonem masłem, kupionem od gojów.

Zdenuncjonowano go Aronowi, Aron zaniósł skargę do rabina, — powstał krzyk, na który ojciec Zyzmy odpowiedział wzruszeniem ramion. Husyci go omijali — uśmiechał się na to. — W bóżnicy przyjęto go szmerem oburzenia, — od tego czasu modlił się w domu. Lecz gdy Lejzor Juma zabrał do siebie Sarę, — aby z przeklętym więcej nie siedziała, wpadł w gniew i grozić zaczął. — Sara się przelękła i wróciła do męża — tem więcej, że zbliżał się czas, w którym zostać miała matką.

Od tej chwili opozycja zmieniła się w cichą nienawiść. — Małego Zyzmę wypędzono z hajderu, ojciec skarżył przed rabinem i musiano go przyjąć, lecz belfer przy pierwszej sposobności tak go oćwiczył, że chłopiec w gorączce leżał tydzień cały. Nie było punktu wyjścia, Zyzma przestał chodzić do hajderu — uczył go w domu po hebrajsku ojciec, wpajając w chłopca nienawiść do husytyzmu. Gdy Zyzma zaczął rok siódmy, poszedł do ludowej szkoły, w której pięć lat przesiedział.

Walka z pola religijnego przeniosła się na ekonomiczne. — Ojciec Zyzmy odbierał od swych współwyznawców cios po ciosie,— po raz drugi zbankrutował — i padł... Lejzor Juma wydobył Zyzmę ze szkoły, ogolił mu głowę, nasadził krymkę i pejsy rozkazał zapuścić. — Lecz fatalizm, — i on stracił na wołach kupionych za pożyczone pieniądze. Chcąc się ratować, nabył po kryjomu zdechłą krowę na mięso, za co odebrano mu konsens, zgryzł się i w sześć miesięcy po śmierci ojca Zyzmy, — poszedł za nim. — Została Sara sama z trojgiem dzieci i z Zyzmą w chałacie, a krymką na głowie.

Na parę godzin przed zachodem słońca, czarnooki żydek zbliżał się do Miechowiczek. Rozmarzony wyczytanemi a dziwnie posplatanemi ideami, walkami opinii, wygłaszanemi a sprzecznemi prawdami, szedł zamyślony, zamknięty w sobie, pełen pragnień nieokreślonej wolności, — człowieczeństwa, cywilizacji i nareszcie nieugaszonej ciekawości.

We dworze kucharka sprzedała mu ćwierć kości i zajęczą skórkę. Za ćwierć kości dał dziesięć centów, a weźmie za nią pięćdziesiąt — za zajęczą skórkę zapłacił dwanaście, a w Tarnowie dadzą mu trzydzieści. Przytem załatwiał mniejsze operacje, zamieniając szpilki ze szklannemi łebkami i paczki zapałek na szmaty.

Jędrek Jurek miał ochotę ściągnąć deskę z nad brzegu Dunajca, za co psy poszarpały mu kożuch, z czego się jednak nie chwalił. Pocichu zawołał Zyzmę do chaty i kazał mu go połatać, aby uniknęć despektu w niedzielę, gdyż zwyczajem jest w Miechowiczkach, że gospodarze przez cały maj chodzą w kożuchach do kościoła.

Zabrał się Zyzma żywo do pracy, a przy pogwarce z Jurkiem dowiedział się, że Szmul Miechowicki chociaż siedzi w kryminale, ma pieniądze po ludziach, i należy do spółki handlu drzewem na Dunajcu, — że córce w posagu dał pięćset, złoty zegarek i salopę podbitą lisami,— a dzieci ma sześcioro.

Wszystko to Zyzma zanotował sobie w pamięci. Za połatanie kożucha własną skórą dostał trzydzieści pięć centów, a że miał ćwierć kości, huk papieru i parę funtów gałganów, wyruszył wprost do Tarnowa.

Szedł lewym brzegiem Dunajca, odwidzając po drodze wioski dla zakupna szmat i kości. Wielką miał ochotę przeprawić się na drugą stronę rzeki, lecz się bał. Prawy brzeg aż po samą Wisłę opanowany był przez mieszkańców Żabna i Dąbrowy mojżeszowego wyznania. Tam byli oni wszechwładni, a chociaż Zyzma nie wiele robił sobie z rabina, lękał się współzawodników, którzy go mogli wybić i zmusić do odwrotu.

W Radłowie zjadł za dwa centy bułkę. W Łęce poszczęściło mu się, kupił skórkę cielęcą i dwie skórki owcze za bezcen. Miał więc z czem iść do Tarnowa i szedł śmiało, dźwigając oprócz chałatu, worka kości i skór, — pełną głowę projektów opromienionych nadziejami.

Przenocował w drodze u chłopa, zakupiwszy sobie za trzy centy miejsce w chacie, między piecem a dzwiami. — Nie miał zwyczaju rano się modlić — wstydził się chrześcian, zresztą duch sceptycyzmu opanował go.

Białawo-złociste słońce obrzucało swemi promieniami dolinę Dunajca. Wszystko się przed niem korzyło — trawy i kwiaty mdlały

— ludzie i bydło uciekali z pola — tylko Zyzma obładowany towarem szedł śmiało, nie zważając na palące promienie. Nie miał czasu na to, obliczał zarobek na wysokość trzech guldenów, — a pieniądze miały mu dać wolność, szacunek, przyszłość pełną uśmiechów szczęścia.. Czyż możemy się dziwić, że pragnął je mieć i pracował na nie ciężko?

Nie zawiódł się co do zarobku. Utargował więcej o sześć centów, i te postanowił przejeść i przepić, przeznaczając trzy guldeny na kapitał, z którego procent zaledwie mógł zużytkować dla siebie.

Zadowolony, uśmiechnięty, kupił bułkę, cebulę i piwa — rozkoszując się obiadem i odpoczynkiem. Lubił odpoczywać.

Szukając Zyzmy wpadł do szynku żyd chudy, wysoki, o spiczastym nosie, długiej bladej twarzy, i długich pejsach. Oczy miał niebieskie, duże, wyraziste, latające.— Zyzma skinął na niego, — Mordek siadł przy nim. — Muskuły na jego twarzy drgały, ręce były w ciągłym ruchu, nie mógł usiedzieć na miejscu.

— Mam interes, ale to mój interes - rzekł z dumą Zyzma — zarobisz przy nim.

— Kup piwa — szepnął Mordek.

— To ty kup i jeżeli nie kupisz nie powiem, — znajdę sobie drugiego.

— Szukaj — zawołał obrażony Mordek, i rzucił się ku drzwiom.

Zyzma go nie wołał. Mordek postał chwilę w bramie; nareszcie wrócił. — Kazał dać piwa za cztery centy, i siadł z zaciśniętemi ustami, patrząc pogardliwie na towarzysza. Zbierał po stole resztki chały z obiadu Zyzmy, i gwałtownie je zjadał.

— Jeszcze nic w ustach nie miałem — szepnął, — pijąc chciwie piwo.

— Ty taki bogacz mnie biedaka objadasz?

Mordek się uśmiechnął nerwowo.

— Słyszysz, ja powiem — dosyć — kiedy będę miał sto tysięcy, a brakuje mi dziewięćdziesiąt dziewięć. Jutro mogę mieć dwa, albo będę taki łapserdak jak ty.

— Ty grasz a ja ciężko pracuję — rzekł z godnością Zyzma.

— Tyś głupi, a ja mam rozum — odparł Mordek. — Ty będziesz zawsze łapserdak, a ja pan.

Teraz kolej uśmiechu przyszła na Zyzmę, rozśmiał się ironicznie bębniąc palcami po stole.

— Dostałem posagu, - mówił Mordek — sto papierków — dziesięć razy ryzykowałem i mam tysiąc! Jeszcze sto razy zaryzykuję, będę miał sto tysięcy, — jeszcze dziesięć i zrobi się milion. — Mordek oblizał się łakomie, a głośno wciągał w płuca powietrze mrugając oczyma.

— A jeżeli jutro przegrasz wszystko?

Mordek drgnął i rozśmiał się dziko.

— Nie wszystko — rzekł. — Gadaj o interesie — zwrócił rozmowę, aby Zyzma nie przepowiadał mu bankructwa.

— Zarobisz dwadzieścia guldenów.

Mordek się skrzywił.

— To mój interes, ty przy mnie zarobisz dwadzieścia guldenów.

Mordek z niedowierzaniem potrząsł głową.

— Mów, — szepnął.

Zyzma opowiedział sprawę Zawrzykrajki z Miechowickim Szmulem.

— A ty dla nich chcesz wydobywać?

— Dla siebie — rzekł Zyzma.

— To idź ze Szmulem do spółki.

— Ja chcę mieć wszystko.

— I dla tego chcesz Szmulowi wydrzeć z gardła?

— Chcę.

— Zyzma tyś się wściekł, jeżeli ze Szmulem rozpoczynasz wojnę.

— Chcę i wygram — powtórzył Zyzma.

Mordek potarł ręką po czole.

— Dwadzieścia guldenów to nie za taki interes, gadaj inaczej.

— Trzydzieści i ani centa.— Przystajesz?

— Zobaczę — odpowiedział Mordek z tajemniczym uśmiechem. — Słuchaj — dodał — ty służysz gojom, ty trefniejesz.

— To i cóż?

— To żeś łajdak, bo goje są dla nas.

— Mordek tyś głupi -- prz rwał Zyzma.

Głupi — a za co my mrzemy głód i marzniemy od zimna? — Harujemy dzień cały jak woły, latamy jak psy po błocie od świtu do nocy. Oni nic nie robią, jedzą, piją i leżą — oni panowie a my łapserdaki, łachmanami trzęsiemy, ale zbieramy, — to, co oni rozrzucą. — Im zawsze potrzeba, a my mamy co im potrzeba. My nie marnujemy — żyd rozpoczyna z dziesięcioma guldenami i dochodzi do! kroci; oni mają krocie i dochodzą do dziesięciu guldenów.— Ty głupi jesteś, jeżeli służysz gojom i dla nich pracujesz!! — Dasz pięćdziesiąt?

— Nie—odparł stanowczo Zyzma.

— No to Szmul będzie o tem wiedział, że taki łapserdak jak ty staje mu w drodze. Ty za głupi jesteś do takiego interesu, i dla tego wolę ja ze Szmulem trzymać. I to piwo coś mi wypił, i te cztery centy niech cię udławią.

Wyszedł trzaskając drzwiami. Zyzma z obojętnością i spokojem przyjął przekleństwo Mordka, zamyślił się jednakże szukając drogi wyjścia.

Postanowił żydów nie brać do spółki, i samemu wystąpić do walki z potężnym Szmulem Miechowickim. — Koszyk swój napełnił towarem potrzebnym do zamiany produktów, i wyruszył w stronę Bochni, aby brzegiem Raby na Ujście Solne dobić nazajutrz do Szczurowy na jarmark.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z poezyj Wiktora Gomulickiego. *)

ŻYCIE.

Człowiek na świat przychodzi nagi i bezbronny,
Z głową, równą rozumem kapuścianéj głowie;
Wątłe są jego siły, kruche jak szkło zdrowie,
I tylko do łakomstwa i gniewu jest skłonny.

Z niemowlęcej poczwarki wylęga się chłopię,
Istota niedojrzała jak zielone jabłko;
Książkę, źródło mądrości, przeklina i kopie,
I radby, żeby życie było „ciuciubabką“.

Ziarno staje się kłosem, a chłopię młodzieńcem;
Lecz cóż to jest młodzieniec? rozhukana fala.
Chce panować, i sam jest namiętności jeńcem —
Chce gwiazd dostać, a skrzydła przy świecy opala.

Jako odlew stwardniały z wrzącego metalu,
Tak z młodzieńca mężczyznę urabiają lata,
Ten, chociaż ideały porzucił bez żalu,
Zbija nos za pieniędzmi i poklaskiem świata.

Dopiero doświadczenie jak dłoń arcymistrza,
Doskonali człowieka długim cierpień ciągiem;
Sąd jego coraz zdrowszy, dusza coraz czystsza,
I harmonijnym wreszcie staje się posągiem;

Jak orzeł, widzi kresy i ziemi i nieba,
Myśl ma jasną, cierpieniom czoło stawia dumne,
Zbadał zagadkę bytu, i wie jak żyć trzeba.
. . . .
Szkoda tylko, że wówczas kłaść się musi w trumnę!

PIOSENKA.

Nim czar miłosny,
Nim cuda wiosny
Porzucą nas,
Kochaj dziewczyno!
Niech płynie wino
Z pieśniami wraz!

Niech skrzą się oczy,
Zaczem je zmroczy
Mogiły cień! —
Gdy minie pora,
Z mroków wieczora
Któż zrobi dzień?

Marzenia mylą,
A życie chwilą —
Pocóż więc śnić?
Dusza i zmysły
To węzeł ścisły;
Kochać to żyć!

---

*) Patrz „Przegląd literacki“.

Wiek i jego prawa
w wychowaniu
przez
Ludwika Hodolego.
(Ciąg dalszy).

Czy przypuścimy z sensualistami (Locke, Condillac), że umysł jest początkowo czystą tablicą, tabula rasa, czy z idealistami (Dekart, Leibnitz), że posiada on pewne wyobrażenia wrodzone, czy też przyjmiemy z Kantem transcedentalną doktrynę o formach myślenia, albo z empirykami przyznamy umysłowi samodzielność, mocą której on przerabia zewnętrzne wrażenia, mając jednak źródło samodzielności w organizmie a mianowicie w układzie nerwowym: — zawsze przyznać musimy, że umysł przebywa, jak ciało, pewne z góry wiadome stopnie rozwoju. Przyczyny tego rozwoju są czysto wewnętrzne. Skłonność do posiadania tego lub innego rodzaju wiadomości, budzi się w umyśle w chwili, gdy wiadomości te stają się dlań potrzebnemi, niby pokarm duchowy. Umysł posiada wewnętrzny bodziec, popychający go do rozmaitych czynności, odpowiadających stopniom jego rozwoju.

Zdawałoby się więc, że wychowanie należy zostawić całkiem opiece natury. Bo też rzeczywiście człowiek nabiera pewnych wiadomości nieświadomie od otoczenia, choćby mu ich wyraźnie nie podawano jako naukę. I tak ludzie dzicy nie wychowują osobno dzieci, a przecież one nabierają z czasem tej wiedzy i tych zdolności, jakie są starszym właściwe. Całe życie od samego urodzenia jest ciągłą nauką. „Ktoby żyjąc,“ mówi Śniadecki, „nie chciał się uczyć, musiałby zamknąć oczy, uszy zalepić i inne narzędzia zmysłowe nieprzebitą powlec zasłoną. Ale w towarzystwie człowiek tak jest obłąkany, tak zbity z toru przyrodzenia i tak od jego drogi daleki, tak jest napojony przesądem i błędem, że czego tylko nie nabył od bakałarza, z przymusu siedząc, ślęcząc lub kiwając się za stolikiem albo na szkolnej ławie, tego nie ma za naukę. Dlatego imię nauki przywołuje nam na pamięć bolesne wyobrażenie najsroższej nudy i męki, a my ludzie podług przepisu mądrzy dziwujemy się, że dzieci nauki nie lubią i strofujemy je za to.“

Chociaż człowiek z wiekiem przez doświadczenie może się wielu rzeczy nauczyć nieświadomie od otoczenia, niejako pod opieką samej natury, to okoliczność ta nie zwalnia przecież wychowania od opieki rodziców i nauczycieli. Po pierwsze bowiem jest prawem natury, że im wyżej ustrojone są istoty, tem dłużej po przyjściu na świat same sobie rady dać nie mogą i potrzebują opieki. Nawet ów idealny Emil Rousseau, do ostateczności niemal zostający pod opieką natury, nie mógł się obyć bez nauczyciela. Powtóre trzeba zważyć, jak powolnym jest ów rozwój naturalny czyli owo wychowanie natury. Wychowanie, jak to Compte żąda, jest rzeczywiście do pewnego stopnia powtórzeniem historji rozwoju całej ludzkości. Człowiek od zupełnego niedołęstwa w stanie niemowlęcym i zupełnej niejako dzikości pierwszych lat życia, ma się sam dźwignąć do cywilizacyjnej wyżyny naszych czasów. To więc, co ludzkość zdobywała sama przez tysiące lat, co gorzkiem doświadczeniem i tysiącznemi nawet niebezpieczeństwami okupywała, miałby każdy człowiek na nowo wytwarzać i od prymitywnych do coraz doskonalszych dzieł postępować. Olbrzymia praca! tem trudniejsza, ile że w znacznej części ma być w młodości pokonaną, jeżeli nie mamy zostać kiedyś staremi dziećmi i wstecznikami. Taką pracę ułatwić i skrócić jest właśnie zadaniem sztuki wychowania: czego natura uczyła nas przez tysiące lat, tego uczy nas sztuka wychowania w niewielu latach.

W pedagogii zachowujemy jednak przecież ową zasadę: naturam sequi (iść za naturą) a to właśnie przez stosowanie metody nauki do natury wieku. Jak już na wstępie powiedzieliśmy, zasada ta była od dawna nieuniknioną w pedagogii i z konieczności musiano jej zawsze przestrzegać, chociaż nie bez wielorakich błędów to się działo. U najdawniejszych autorów znajdujemy ją mniej lub więcej dobitnie wygłoszoną tak, że dziwić się tylko wypada, jak oni mogli tyle niekonsekwencyi popełniać w szczegółach.

Comenius, któremu metoda poglądowa ma tyle inicjatywy do zawdzięczenia, zdziałał wiele dobrego także w zastosowaniu nauki do wieku. Powiada on wyraźnie, że „nauka odbywa się o tyle łatwo, o ile metoda jej postępuje za naturą.... Szkoły uczą błędnie najpierw języka a potem przystępują do rzeczy; sztukami odnoszącemi się do mowy (artibus sermocinatricibus) wstrzymuje się chłopców przez kilka lat i dopiero potem daje się im realia, jak matematykę, fizykę i t. d. A przecież rzecz jest substancją, słowo akcydencją, — rzecz ciałem, a słowo suknią.... Najpierw trzeba ćwiczyć zmysły, potem pamięć, następnie rozum, w końcu sąd. Umiejętność bowiem zaczyna się zmysłowem spostrzeżeniem, które przez wyobraźnię wprowadzanem bywa do pamięci a przez indukcję poszczególnych spostrzeżeń, tworzy potem rozum ogólne prawdy (pojęcia); w końcu wypływa pewna wiedza z sądu o dostatecznie zrozumianych rzeczach.“

Metoda poglądowa Comeniusa, wiążąc uwagę ucznia nie tyle do suchych liter, ile raczej do rzeczy, których rozmaitość bawi najgnuśniejszego, starając się więc uprzyjemnić mu naukę w sposób jego wiekowi odpowiedni, znamionowała wielki postęp w swoim czasie i żałować tylko wypada, że mimo entuzjazmu, jaki przez długi czas dla dla niej żywiono, odstąpiono dzisiaj od niej osobliwie w początkowej nauce, i jakby zażądano od dzieci znowu, aby były bibliofilami, aby się więcej uczyły z despotycznego rozkazu: sic volo, sic iubeo (chcę tak, tak każę) niż z naturalnego zamiłowania do tego, co się mają uczyć. Rzecz to nader doniosła i dlatego poniżej wrócimy jeszcze do niej, tem więcej, ile że ona stanowi jeden z zasadniczych punktów stosowania nauki do wieku. — Cześć zasłudze Comeniusa, który wiele uczynił dla uprzyjemnienia dzieciom nauki!

Rousseau starał się również uwzględniać w wychowaniu wiek ucznia. Skarży się on w przedmowie do Emila, że „nie znamy dzieciństwa a najzdolniejsi trzymają się w uczeniu tego, co potrzebne jest do wiedzenia dla męża, nie zważając, co dzieci zdolne są nauczyć się. Oni szukają zawsze męża w dziecku, nie myśląc o tem, czem jest dziecko, nim się stanie mężem. Moim systemem jest rozwojowy pochód natury.“ Jeżeli u kogo jednak, to u Roussa znajdujemy obok prawdziwie świetnych myśli cały balast niedorzeczności i niewykonalnych wymagań. Mimo więc prób Basedowa i innych, mających na celu zrealizowanie poglądów Roussa, zasada nasza nie znalazła należytego oddźwięku w tym systemie, a chociaż była ostatecznie jedną z jego myśli przewodnich, skażoną została mnóstwem innych utopii. Dziwaczność w przeprowadzeniu tej zasady uderza już na początku, gdzie Rousseau żąda, aby jego wychowaniec aż do skończenia dwunastego roku życia nic się takiego nie uczył, coby wymagało jakiejkolwiek pracy umysłowej.

Pestalozzi wygłosił tę zasadę nader wybitnie, twierdząc, że wychowanie w całym swym przebiegu pod względem metod powinno się zgadzać z naturalnym procesem rozwoju umysłowego, że istnieje pewien porządek wewnętrznego rozwoju zdolności, że każda z tych zdolności w czasie swego rozwijania się potrzebuje odpowiedniego rodzaju wiedzy, że zatem jest zadaniem wychowania ustalić ten porządek i dostarczyć zdolnościom odpowiedniego materjału. Świetnych skutków nie osiągnął Pestalozzi z tą metodą, gdyż nie wykończył jej należycie co do szczegółów, a wreszcie i w tej formie nie znalazł dla niej odpowiednich wykonawców a więc i zastosowania praktycznego.

Ś n i a d e c k i cały swój zarys fizycznego wychowania dzieci oparł na podziale według stopni wieku. Co już M o n t a i g n e, B a c o, L o c k e, R o u s s e a u, B a s e d o w i inni podnieśli byli w tej mierze, ujął Ś n i a d e c k i, przy swej specjalnej znajomości hygeny w systematyczną całość i wykazał, jakiego stopniowania należy używać z wiekiem dziecka w jego fizycznem wychowaniu. — Rzecz to także ważna w obec rozlicznych błędów, które i pod tym względem traktują dzieci niewłaściwie tak, jak starszych, albo degradują je niżej wieku. Dość tylko wspomnieć np. z jednej strony o licznych chorobach dzieci, pochodzących z przeładowania żołądka, lub z drugiej o grubej nieznajomości potrzeb dziecka, która powoduje ciągłe wojny z dziećmi o jedzenie, i prowadzi je w końcu do łasowania czyli po prostu do złodziejstwa. Tu nie rezonować nam na ślepo wedle humoru: „Więcej nie dostaniesz jeść, masz dosyć“ i t. d., tu trzeba u c z y ć s i ę fizjologii, hygeny i jej się pytać, ile dziecko w jakim wieku potrzebuje przeciętnie pożywienia, bo, jeżeli dziecko prosi o jedzenie, to nie zawsze jest to jego kaprys, lecz najczęściej wymoga tkanek jego, które przecież ciągle odnawiają się i rosną, i bez pokarmu, jak mur bez cegieł, nie zbudują się z niczego a nawet zmarnieją.

Jak umysłowe wychowanie stosować do wieku dziecka, tem się Ś n i a d e c k i nie zajmuje, w jednem tylko miejscu wyznaje zupełną swą w tej mierze bezradność. Powiada on, że nikt jeszcze nie wskazał prawideł, jakich władz umysłowych ma się używać, kiedy i jakim porządkiem, kiedy się te władze najprzód znajdują, jak rosną i jak następują jedne po drugich. Sam nie odpowiada on także na te pytania i zostawia je przyszłości a stawia tylko „tymczasowe prawidło, żeby dzieci takiemi powoli naukami zatrudniać, do jakich okazują zdolność i ochotę.“ Wyklucza on wprawdzie wyraźnie takie dzieci, które do niczego nie mają ochoty (nie powinien był właściwie ich wykluczać, lecz wskazać, jak postępować, aby ochoty nabrały, jeżeli nie mamy w pedagogii po spartańsku pozbywać się niedogodnych dzieci), ale mimo to nie wyraża się jasno, jak sobie rzecz przedstawia — tak. że tylko domyślać się możemy, że miał on na myśli uprzyjemnienie nauki stosownie do wieku. Trudno nawet inaczej wytłumaczyć sobie tę rzecz, gdyż wątpimy, aby on zechciał wychowanie zrobić tak dowolnem, żeby zależało od indywidualnej ochoty czyli raczej zachcianki dziecka. Tem mniej zrozumielibyśmy także żądanie kształcenia dzieci na specjalistów od pierwszych lat życia.

H e r b a r t podaje także pewne wskazówki co do modyfikacji wychowania stosownie do wieku. Rozróżnia on cztery główne okresy młodości i tak je charakteryzuje:

1). P i e r w s z y o k r e s obejmuje trzy pierwsze lata życia. Wychowanie fizyczne przeważa tutaj, wychowanie zaś umysłowe różnem bywa według stanów zdrowia. Przedewszystkiem należy teraz kształcić zmysły szczególnie wzroku i słuchu; wrażenia winne być rozmaite, ale nie zbyt silne i nie zbyt prędko zmieniane. Ćwiczyć wszystkie członki! Nie straszyć! Niech dziecko uczuwa swą nieporadność i bezsilność, bo to prowadzi do posłuszeństwa. Kształcić także mowę, aby była jasną i czystą.

2). D r u g i o k r e s od 4—8 roku życia Właściwa granica między tymi okresami nie leży w wieku, lecz w tem, że pierwsza nieporadność ustaje i dziecko zaczyna swobodniej i zręczniej używać członków i mowy. Im więcej dziecko może sobie pomódz, tem więcej trzeba je zostawić samodzielności. Kierownictwo natomiast winno nabierać więcej siły i surowości. (!) Przeszkadzać wyrabianiu się złych zwyczajów. Nie zostawiać dzieci samych, lecz szukać dla nich odpowiedniego towarzystwa. Ponieważ doświadczenie wzrasta a dziecko zadaje tysiączne pytania: dlaczego?, więc dla pobudzenia ciekawości podnosić rozmaitość przedmiotów przez przechadzki i t. d. Uczyć pierwszych początków czytania, pisania, rachowania, łatwych kombinacji, obserwacyj i t. d.

3). W i e k c h ł o p i ę c y. Granicę między wiekiem dziecięcym a chłopięcym stanowi czas, kiedy chłopiec chętnie odddala się od starszych i nie czuje się niepewnym, jak dziecko, jeżeli jest w samotności. Od młodzieńca różni się chłopiec tem, że nie ma stałych i silnych celów, lecz żyje zabawami z dnia na dzień. Dlatego to należy chłopcu uporządkować czas. Naukę wiązać jeszcze do rzeczy zmysłowych, ale już i umysłowe uwzględniać. Nie pozwalać próżnować, zwłaszcza, że dzieci niechętnie spoczywają. Pojęcie prawa i słuszności dopiero teraz staje się przystępnem. Uczyć poezji, historji, nauk przyrodniczych, języków, gimnastyki. W ogóle ciągle zatrudniać chłopca, ale nie przeciążać.

4). W i e k m ł o d z i e ń c z y. Sam młodzieniec uczuwa już potrzebę dalszego kształcenia się. Ma jednak poznać swe stanowisko i nie pchać się, gdzie miejsce dla starszych.

S c h w a r z, jeszcze mniej niż H e r b a r t zastanawia się nad tem, co dla którego wieku jest odpowiedniem, a charakteryzuje tylko ogólnie poszczególne okresy młodości. Rozróżnia on trzy okresy: 1) wiek dziecięcy od urodzenia do 6go roku: zmysłowość przeważa; 2) wiek chłopięcy aż do skończenia 14go roku: wewnętrzna działalność uwalnia się od związania ze zmysłowością; 3) wiek młodzieńczy od 14go do 25go roku: pełny rozwój wyższych sił umysłowych przy zupełnej świeżości niższych, stąd wahanie się między zmysłowością a umysłowością.

Wiek dziecięcy dzieli on jeszcze na trzy podrzędne okresy: a) okres niemowlęctwa do końca pierwszego roku: bezradność zupełna; b) okres naiwności do 4go roku: dziecko próbuje wszystkiego bez świadomości swych błędów; c) okres naśladownictwa (Periode der Naseweisheit, a więc właściwie: okres wściubstwa): dziecko naśladuje starszych, dąży do czegoś wyższego, robi uwagi o czynnościach innych, — sąd obudza się.

Pod względem moralnym odróżnia S c h w a r z także wybitne okresy wieku. Co w dziecku jest niegrzecznością, mówi on, staje się w chłopcu niecnotą lub złą skłonnością, w młodzieńcu błędem lub nawet zepsuciem, a w mężu występkiem, zbrodnią. Dziecko jest grzecznem, układnem; chłopiec już dobrym, pełnym talentów; w młodzieńcu występują cnoty, w mężu charakter.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROZCZAROWANY.

Nowella wenecka przez Tally-Ho.

(przekład z francuskiego).

(Dokończenie.)

Nareszcie podniesiono zasłonę.

W obszernej sali średniowiecznego zamczyska przechadzał się niespokojnym krokiem bohater sztuki, bandyta, który prawdopodobnie nie bardzo potrzebował ucharakteryzować się, aby godnie odpowiedzieć swojej roli. Patetycznym głosem, machając rękoma, wypowiedział długi monolog, którego z publiczności, zdaje się, nikt nie słuchał.

Naraz sala zagrzmiała trzykrotnym grzmotem oklasków. To córka bandyty ukazała się w głębi sceny.

Spojrzałem i ja w tę stronę, i jakżesz byłem zdumiony, widząc nadzwyczajne podobieństwo artystki z moją świętą Katarzyną. W pierwszej chwili zadrżałem z oburzenia, nigdy bowiem przez myśl mi nawet nie przeszło, aby bohaterka mego idealnego romansu mogła być aktorką; ale niebawem odzyskałem krew zimną, i przekonawszy się, że wzrok mnie nie myli, tem baczniej śledziłem rozwijający się przed memi oczyma dramat.

Artystka — trzeba jej to przyznać, grała swoją rolę z prawdziwym talentem. Z włosami rozpuszczonemi i spływającemi na śnieżne ramiona; z okiem pełnem gorącej namiętności i łkającym głosem; tarzając-

się u nóg ojca, którego błagała o ułaskawienie kochanka, na śmierć skazanego — wykonała tę trudną scenę z taką prawdą i przejęciem się, że z frenetycznym zapałem oklaskiwano ją, a kobiety nawet w lożach pierwszego piętra, nie mogły powstrzymać się od płaczu.

Zatwardziały zbrodniarz nieczułym jednak pozostaje na błaganie córki; biedna dziewczyna zalewa się łzami i wychodzi zrozpaczona.

Na scenie ściemnia się powoli, bandyta zasypia przy łagodnych tremolowych dźwiękach orkiestry.

Nagle wybucha burza, od której zamek bandyty wstrząsa się w swoich posadach, pioruny biją jeden po drugim, muzyka przechodzi w f o r t i s s i m o, a wśród tej piekielnej wrzawy, spostrzegam moją świętą Katarzynę, jak zakrada się cichaczem i na palcach podchodzi do aktora, odgrywającego jej ojca.

Zimny pot wystąpił mi na czoło; sam nie wiedząc dla czego, zerwałem się z miejsca i żeby nie upaść, konwulsyjnie schwyciłem obu rękami za poręcz stojącego przedemną fotelu.

W prawej ręce trzyma ona pistolet; cofa się parę kroków, i przy świetle błyskawic, bezprzestannie rozjaśniających scenę, mierzy w uspionego artystę.... Strzał pada a echo jego rozlega się w najdalszych zakątkach sali....

* * *

Machinalnie padłem napowrót na krzesło; jakiemś strasznem tknięty przeczuciem, zrozumiałem, że broń która podobny huk wydała, musiała być kulą nabita.

Nikt więcej z publiczności nie zdawał się czegokolwiek domyślać. Aktor rzucił się konwulsyjnie i potem ciężko opadł na łoże, ale w półświetle, panującem na scenie, trudno było rozpoznać, że konanie bandyty nie jest jak zwykle udaniem tylko.

Po niejakiej chwili dopiero burza przycichła, a na oświetloną już scenę, zgodnie z wymaganiami roli, wraca dziewczyna prowadząc swego ukochanego.

Zanim jednak wielbiciele primadonny złożyli ręce do obowiązkowego powitalnego brawa, aktor grający kochanka cofnął się w przerażeniu, a towarzyszka jego straszny wydała okrzyk.

Jednocześnie widzowie siedzący bliżej sceny, spostrzegli, że ciało bandyty nurza się we krwi, a twarz jego i zaciśnięte ręce trupia okryła bladość.

Przerażeni pozrywali się z miejsc, a w całej sali zgiełk powstał niesłychany.

Patrzałem na to wszystko odurzony, jakby w sennem marzeniu; z niewypowiedzianem uczuciem słuchałem rozpaczliwych jęków aktorki, która bez przytomności prawie rzuciła się na trupa. Przemocą trzeba ją było oderwać od niego; kilku lekarzy znajdujących się wśród publiczności, pospieszyło z pomocą na scenę.

— S a n t i s s i m a V e r g i n a! zawołał ktoś obok mnie. To jej mąż! Co za nieszczęście! Pistolet musiał być przez nieuwagę nabity kulą, i nikt o tem nie wiedział.

— Biedna kobieta! oszaleje z rospaczy! odezwano się z drugiej strony. Fatalny wypadek!

A podczas gdy publiczność objawiała w ten sposób swoje współczucie, dochodziły mię ciągle jęki aktorki, pomimo że wyprowadzono ją za kulisy.

Spuszczono kurtynę i jednocześnie ukazał się reżyser i przeprosił publiczność, że wskutek opłakanego wypadku, jaki co tylko się zdarzył, przedstawienie nie może być dokończone.

Zainterpelowano go z galerji:

— Spodziewamy się, że cios nie był śmiertelny?

— Na nieszczęście, s i g n o r e, śmiertelny! odpowiedział smutnym głosem reżyser, i cofnął się złożywszy poprzednio głęboki ukłon.

Razem z całym tłumem widzów opuściłem teatr, i zaledwie z trudnością znalazłem wolną gondolę, którą popłynąłem do domu cichemi wodami kanału, osrebrzonemi łagodnem światłem księżyca.

W godzinę później stałem przed moim obrazem, zadając sobie pytanie, czy podobna, aby te anielsko-łagodne rysy mogły wyobrażać zbrodniarkę? — Przyszedł mi na myśl bilecik wczorajszy, ale i ten dziwny zbieg okoliczności nie był w moich oczach wystarczającym dowodem; zasłoniłem jednak płótno, które teraz przykre tylko wywierało na mnie wrażenie....

* * *

Tego samego wieczora jeszcze wiadomość rozeszła się po mieście, i fatalny wypadek w teatrze Doży stał się przedmiotem dyskusji po kawiarniach i innych miejscach publicznych. Żałowano powszechnie zabitego aktora, ale większe daleko współczucie objawiano dla nieszczęśliwej jego żony, którą los okrutny uczynił mimowolną mężobójczynią.

Następnego poranku dowiedziałem się z dzienników, że zbierają składki, w celu przyjścia z pomocą utalentowanej a tak srodze dotkniętej artystce. Nic też dziwnego, że nasłuchawszy się i naczytawszy niezliczonych pochwał dla mojej nieznajomej, zacząłem sobie na serjo robić wyrzuty, iż chociaż na jedną chwilę mogłem był zwątpić o jej niewinności.

Zmierzchało już, gdy według zwyczaju wyszedłem na balkon z poobiedniem cygarem, popatrzeć na przesuwające się gondole. Jeszcze pięć minut nie upłynęło, kiedy jedna wioząca zawelonowaną kobietę, zatrzymała się przed mojemi drzwiami. Zmięszałem się bardziej jeszcze, aniżeli podczas wczorajszego wystrzału, a gdy kobieta wyskoczywszy lekko z gondoli znikła we dzwiach, gwałtowne bicie serca o mało mi piersi nie rozsadziło.

Kiedym szedł naprzeciw niespodziewanego gościa, nowa ogarnęła mnie wątpliwość.

— Mógłżebym do tego stopnia dać się uwieść łudzącemu podobieństwu dwóch obcych sobie istót? Nie, to nie podobna!

Drzwi zwolna otworzyły się, a na progu ukazał się model mojej świętej Katarzyny.

Młoda kobieta rzuciła w okół badawcze spojrzenia, i przekonawszy się, że jesteśmy sami, uchyliła welon, uroczą twarz jej anielski okrasił uśmiech, a jednocześnie zapytała melodyjnym swym głosem:

— Otrzymałeś pan mój list? Byłeś w teatrze?

Wpatrując się w nią badawczo, odrzekłem:

— Poszedłem do teatru i byłem świadkiem..... wypadku...

— Tak, tak, masz pan słuszność — przerwała mi śmiejąc się — to był wypadek tylko.— Bydlę, nie chciał mnie puścić wczoraj do pana i nawet skopał mnie nogami. — Otóż na złość jemu, jestem tutaj! i już mnie więcej kopać nie będzie! Przy pomocy Madonny pozbyłam się go raz na zawsze.. Niech imię jej będzie błogosławione! — Możesz pan teraz malować swój obraz kiedy zechcesz, i jak długo będzie się panu podobało.

— Obawiam się, s i g n o r a, że już nie będę mógł korzystać z jej uprzejmości.... Czy pani wiedziałaś że.. że pistolet był nabity kulą?

— Czy wiedziałam! odrzekła czarująco uśmiechnięta i nachylając się ku mnie tak, że oddech jej czułem na mej twarzy. — Czy wiedziałam? ależ własną nabiłam go ręką!

Gdy to mówiła, wzrok mój mimowolnie padł na obraz, gdzie wśród zmroku panującego w pracowni, rysy jej prawie o dziewczęcej naiwności, odbijały się jakby w źwierciedle.

— I pani sądziłaś — zawołałem w najwyższem oburzeniu że ja zechcę malować obraz świętej z rysami zbrodniarki, mężobójczyni?!

— I dlaczegożby nie? Czyliż moja twarz zmieniła się od wczoraj? zapytała widocznie strwożona. Czyliż dzisiaj jestem mniej piękną?.. Zbrodniarka! mężobójczyni! Straszne rzeczy! Mówisz pan do mnie jakbyśmy oboje byli dziećmi. Znalazłam sposobność uwolnienia się od męża, który traktował mnie jak bydlę, a pan chciałbyś we mnie wmówić, że nie

powinnam była korzystać z tej sposobności. Ja jestem innego przekonania i zdania mojego nie zmienię. Co uczyniłam, uczyniłam jedynie dla pana i dla świętej Katarzyny......

— Żal mi pani bardzo — przerwałem — o tak... bardzo ubolewam nad tym wypadkiem; — ale teraz już nie mógłbym patrzeć na nią bez wstrętu. Proszę cię, signora, zostaw mnie samego!.. Zabierz sobie obraz jeśli ci się podoba, ale na miłość boską oddal się ztąd!...

Przez chwilę taka cisza zapanowała w pracowni, żeśmy słyszeli wyraźnie głosy gondolierów, przepływających kanałem.

— Dzieciak z pana, niedołęga! szepnęła z lekceważeniem. Trzeba mieć zajęcze serce, żeby coś podobnego twierdzić! W pańskich żyłach ani kropla krwi nie płynie.. .. Darujesz mi pan ten obraz?... O święta Katarzyno, coś tak podobna do mnie, która pokierowałaś moją ręką! bądź całe życie opiekunką i przewodniczką moją!...

Pocałowała własny swój portret i dodała jeszcze zwracając się ku mnie:

— Addio! moje ty kurczątko, co nie zdołasz ocenić bohaterskiego czynu! Ale to już nie pańska wina. Za to malujesz pan prześlicznie; z prawdziwą przyjemnością będę się modliła zawsze do pańskiej świętej Katarzyny. To bardzo pięknie z pańskiej strony, żeś mi ją podarował. Addio! addio! ale pan nie wspomnisz nikomu o moim bileciku?

— Możesz signora być spokojną o to. Tajemnicy nie zdradzę.

— Stokrotne dzięki, signore! Nie zapomnę nigdy o panu, bo odtąd świętą Katarzynę obieram sobie za patronkę moją. Addio, addio!

Wybiegła z pracowni ukrywszy płótno pod mantylą, słyszałem lekkie jej kroki, gdy zstępowała po marmurowych schodach, słyszałem plusk wody za odpływającą gondolą, — ale gniewny, oburzony i rozczarowany, nie ruszyłem się z miejsca, dopóki jasne promienie księżyca nie rozprószyły zmroku duszącego mnie jak zmora.

* * *

Nazajutrz opuściłem Wenecję. Za żadną cenę nie chciałem narażać się na spotkanie drugiej świętej Katarzyny, o anielskich rysach twarzy. Od tego też czasu nie wymalowałem ani jednej świętej, ograniczając utwory mego pendzla na wyobrażenie tylko świętych rodzaju męzkiego.

Nigdy już potem nie zdarzyło mi się słyszeć cośkolwiek o artystce, która służyła mi za model; znałem ją zresztą tylko z imienia figurującego na afiszach, bo prawdziwego nazwiska dowiedzieć się nie pragnąłem. Prawdopodobnie musiała je w artystycznej swej karjerze niejednokrotnie zmienić, a kto wie czy nie zyskała rozgłośnej sławy, dzięki wrodzonemu talentowi i hojnym datkom, z jakiemi pospieszyła dobroczynność publiczna dla nieszczęśliwej wdowy.

W sprawie pomnika Mickiewicza.

Sprawa pomnika Mickiewicza stoi bezustannie na porządku dziennym, i zajmuje żywo wszystkich umysły. Nie dziwimy się temu. Jest to z pewnością kwestja wielkiej wagi i znaczenia, popularna, bo zajmująca zarówno wszystkie stany, w której każdy z nas zwyczajem ateńskim może zabrać głos i swoje własne wyrazić zdanie. Pomnik Mickiewicza jest w całem tego słowa znaczeniu sprawą publiczną, i jeżeli opinia ogółu w każdym razie powinna być wysłuchana, to ma ona w tym razie tem bardziej prawo wymagać posłuchu.

Mickiewiczowi stawia pomnik nie komitet, nie Kraków, nie klika, ale naród cały i stawia go z publicznie uzbieranego grosza. Autor „Tadeusza" należy do całego narodu, a tak jak on czując się „milionem" chciał przycisnąć do serca wszystkich rodaków, tak samo i te miliony, ubóstwiające swojego wieszcza, wszystkie kochają go równem sercem i chciałyby olbrzymiemu duchowi wieszcza wystawić pomnik, godzien jego wielkości i chwały.

Ztąd w sprawie pomnika tego podnoszą się tak liczne głosy, ztąd płynął ten usprawiedliwiony głos oburzenia, jaki się rozległ po ulicach Krakowa i po całym kraju w chwili, kiedy komitet pomnika ogłosił rozstrzygnięcie pierwszego konkursu na projekta premiując „Spłoszoną Kraskę", i ztąd nakoniec sprawą pomnika dotychczas, wszyscy się zajmują żywiej nawet niż przedtem, wiedząc, że komitet niedorósł do wysokości swego zadania.

Nim więc zadanie to skończonem zostanie, zanim drugi konkurs będzie rozstrzygnięty, należałoby w każdym kierunku wyjaśnić rzecz całą i dlatego cieszy nas, że kwestja ta dotąd ani na chwilę nie zeszła z porządku dziennego.

Nieurządzono dotychczas powszechnego głosowania, które w rzeczach sztuki nie będzie zdaje się tak prędko urzeczywistnionem, ale nie oto też nam idzie. Nie chcemy bynajmniej, aby opinia ogółu wydawała zdanie swoje co się tyczy wartości projektu lub modelu (chociaż przekonani jesteśmy, że wzór pomnika dla Mickiewicza godzien przyjęcia, powinienby znaleść poklask powszechny i przyjęty być przez aklamację), ale chodzi nam o to, aby ów komitet znawców powołanych, czy nie powołanych, uwzględnił żądanie ogółu, co się tyczy miejsca, gdzie ma być pomnik ustawiony.

Konkurs na projekta proponował, jeżeli sobie dobrze przypominamy, trzy miejsc n pomnik. Jeden z tych projektów, aby pomnik Mickiewicza ustawić przy ściętym narożniku domu upadł bez dyskusji, bo był bezsensem, drugi, aby go postawić na placu Dominikańskiem ustąpił miejsca propozycji, która go mieć chciała na rynku przed Sukiennicami, o trzeciem zaś z miejsc wybranych, o wzgórku na plantach, vis-a vis Towarzystwa ogniowego, trwa dotąd dyskusja. Bylibyśmy próżni kłopotu, gdyby nam przyszło wybierać pomiędzy dwoma ostatnimi wyłącznie projektami. Tak jednak nie jest, z czasem bowiem przybyły propozycje inne, pierwsza, która pragnie postawić pomnik na plantaach przed nowo zbudować się mającą częścią uniwersytetu, i drugi projekt postawiony prywatnie, mimo to jednak zasługujący na pewną dyskusję z tego powodu, że przemawia za nim wielu artystów, projekt postawienia pomnika na Wawelu.

Rozbierzmy wszyst kie projekta, a zważmy przedewszystkiem, że pomnik ma być odlany z bronzu.

Ostatni ten wzgląd sam przez się sprzeciwia się ustawieniu pomnika na wzgórku plantacyjnym przy ulicy Widok. Ci, którzy wychwalają to miejsce, powiadają, że najpiękniej by było poecie stać pośród wieńca kwiatów i zieleni drzew. Zapewne, zgodzilibyśmy się na to chętnie, gdyby posąg miał być kuty z marmuru, ale...

Bronzowy pomnik musi mieć koniecznie za tło linie architektoniczne i ornamentykę wspaniałą jakiegoś gmachu. Mickiewicz więc nie może stanąć na plantach.

A zatem Wawel, lub rynek przed Sukiennicami?

Jeżeli powiedziano, że Kraków jest sercem Polski, a rynek sercem Krakowa, to możnaby powiedzieć tak samo, że Wawel jest co najmniej Polski koroną. Porównanie to nie gorsze od innych, ale cóż? kiedy porównania niczego nie dowodzą.

Rynek jest sercem Krakowa tak, jak w ogóle rynek jest sercem każdego miasta, ale sercem dla... handlu. Wawel jest koroną, lecz korona nie na to jest, aby na niej stawiano pomniki. Mickiewicz stać nie może w rynku pośród handlujących i nie może stać na Wawelu, który wkrótce stanie się rezydencją monarchy.

Pomnik wieszcza, który jest chlubą współczesnych pokoleń, a ma być wzorem i przykładem dla przyszłych, powinien stać koło uniwersytetu. Autorowi „Ody do młodości" będzie z pewnością pośród młodzieży najlepiej,

młodzieży obok niego będzie ciepło i zapalnie. Mickiewicz był poetą, komuż bardziej przystoi poezja, jeżeli nie młodzieży! Był profesorem, oby był więc wzorem dla obecnych przewodników rosnącego pokolenia! Był obywatelem i człowiekiem, niechaj więc i pomnik jego z granitu i spiżu będzie spiżowym dla innych przykładem.

Ze wszystkich projektów dotychczasowych, projekt postawienia pomnika Mickiewicza przed uniwersytetem, wniesiony na Radzie miejskiej krakowskiej przez p. Rzewuskiego, najlepiej przemawia nam do serca, a trzeba wiedzieć, że jest on także jedynie możebny ze stanowiska artystycznego.

Powiedzieliśmy wyżej, że posąg spiżowy musi mieć tło architektoniczne, a gdzież je łatwiej zastosować aniżeli przy nowobudującym się gmachu?

Kto widział plan tej części jego, przed którą ma stanąć pomnik, zachwyca się projektem, a rzeczą komitetu pomnikowego i artystów zresztą będzie rozstrzygnąć, jakie tło w tym razie będzie stosowniejsze. Co do nas, w obec projektu o którym mowa, niemożemy nic innego uczynić, jak gorąco zalecić jego przyjęcie. Może się mylimy jednak, i dlatego rozumowanie nasze chętnie poddajemy dyskusji.

B. S.

Przegląd literacki.

(Lira polska, tom drugi; Poezje Wiktora Gomulickiego. Warszawa, nakład Lesmana i Świszczowskiego 1882).

Był czas, kiedy należało do sportu krytycznego twierdzić, że poezja nasza po wielkich mistrzach epoki romantycznej skazaną została na zagładę, że przestała już istnieć i nic jej wskrzesić nie zdoła. Trąbili w ten puzon krytyczni koryfeusze, powtarzała ich zdanie publiczność — mimo to jednak kategoryczne to twierdzenie pokazało się wkrótce bezpodstawnem. Po pewnej pauzie odezwały się znowu głosy poetów prawdziwych, którzy jakkolwiek nie dorównywają pod względem siły pierwszorzędnym naszym wieszczom, mają wszelką rację bytu. Po romantyzmie i jego epigonach nastąpił kierunek realistyczny, i ma już obecnie swoich reprezentantów, z którymi bądź co bądź krytyk liczyć się musi, reprezentantów odczuwających stan społeczeństwa i jego prądy i dających im wyraz podług możności w swoich utworach. Kierunek ten, jak każdy nowy, nie jest jeszcze jasno skrystalizowany, nieda się jednak zaprzeczyć, że istnieje i ma pisarzy, którzy go z talentem uprawiają. Nie wielu ich, nie wielu, bo też w ogóle mało u nas ludzi piszących wiersze, którzyby na miano poetów zasługiwali; ci jednak którzy są, o ile siły starczą popychają poezję na nowe tory, i wskazują jej nowe źródła natchnienia.

Z pomiędzy owych nielicznych tegoczesnych naszych poetów, obok Marji Konopnickiej, której prym oddać należy, zasługuje na szczególną uwagę Wiktor Gomulicki. W Galicji prawie on nieznany, chociaż już od lat kilku używa w Królestwie zasłużonego uznania. Talent to bezwarunkowo głęboki, odczuł on nowe prądy wstrząsające społeczeństwem, i w tym kierunku rozwinął swoją działalność. Czy z wiedzą, czy bezwiednie? Zdaje nam się, że to ostatnie jest prawdopodobniejsze. W utworach jego, jak w kalejdoskopie, przesuwa nam się przed oczyma — liryka dawnej szkoły, trącąca często sielankowym sentymentalizmem, często spotyka się nawet utwory z pewnym klasyeznym kolorytem, jednak obok nich nie brak rzeczy zaczerpniętych z życia, owianych realną prawdą i dla tego porywających czytelnika, który umie czuć i myśleć. W pięknym wierszu umieszczonym na czele drugiego tomiku „Liry polskiej," Gomulicki z siłą kreśli nowe tory, po których poezja kroczyć powinna. Pisze on:

„O wieszcze, dzieci bogów! Czemu z waszej lutni,
„Rzadko płyną te dźwięki, co są życia echem?
„Czyż nie umiecie śmiać się naturalnym śmiechem,
„I naprawdę być gniewni, pragnący być smutni?
„Czemu maską aktora lica swe kryjecie?
„Czemu więzicie w piersiach zapał uczuć szczery?
„Rzućcie trwogę! Nikt orłu granic atmosfery,
„Nikt granic możliwości nie wskaże poecie!
„Koturny czas wam rozzuć, czas wam zejść ze sceny —
„Kłamstwo uczuć zostawcie zalotnej niewieście,
„Bądźcie tem — w waszych pieśniach, czem w życiu jesteście,
„Z waszej muzy przeczystej nie róbcie syreny!
„Od noszenia barw cudzych niech was bogi strzegą!
„Dusza winna być własna, a nie pożyczona,
„Pocóż myśleć myślami Danta lub Bajrona?
„Bądźcie sobą — nad prawdę cóż jest piękniejszego?

Gomulicki nie zawsze pozostaje wierny hasłom wypowiedzianym w powyższym programowym wierszu, są to jednak drobne zboczenia, które łatwo wytłumaczyć, zwłaszcza jeśli zważymy, że utwory pomieszczone w omawianym przez nas zbiorku należą do rozmaitych czasów. Z pomiędzy wszystkich utworów młodego poety najlepiej nam się podobał wiersz p. t. „El mole rachmim“, w którym autor opisuje wrażenia żydowskiej pieśni za zmarłych. Świetna opisowość łączy się w tym wierszu z prawdziwem uczuciem i głębokim na świat poglądem. Do udałych wierszów społecznych zaliczamy. „Z niskich lotów“, „Frons“, „Cierpienie to burza“ — „Usnęły dzieci“ i inne. Jedną tylko mają wadę — przeważa w nich dydaktyka, w skutek czego brak im owej werwy, która porywa czytelnika. Utwory czysto liryczne daleko są słabsze i pisane po większej części na znane jej dobrze tematy. Gomulicki próbuje także sił swoich w kierunku satyrycznym i to z niezaprzeczonym sukcesem. Takie wierszyki jak „Na kanonji“, lub „Syn obywatelski“ — to perełki rodzimego humoru. Jeźli jednak w czem trzeba Gomulickiemu przyznać talent niepospolity, to w opisowości. Umie on odczuwać naturę, maluje ją barwnie, szerokimi rzutami, porównania jego są zawsze i zręczne i śmiałe. Niestety większego poematu epickiego nie napisał dotychczas i kto wie czy kiedy napisze, nie czas nam jeszcze bowiem na nową opopeję..

Co się tyczy formy należy mu się oddać wszelkie uznanie. Włada nią wyśmienicie — wiersz jego jest gładki, potoczysty i wykwintny. Pod tym względem nie możemy podnieść żadnego zarzutu.

Jako ilustrację naszej recenzji podajemy powyżej dwa wiersze Gomulickiego, które choć w części dadzą czytelnikom sposobność poznać rodzaj i wartość jego talentu.

Alg...

Monografia miasta Przemyśla, napisał Leopold Hauser, z widokami i starożytnym planem miasta. — Przemyśl, nakładem księgarni braci Jeleniów, 1882 r. str. 274 w 8-ce.

Dzieje miast naszych — to białe jeszcze prawie karty w historji szlacheckiej naszej Respubliki. A jednak karty te ciekawemi zapisze jeszcze nauka faktami. Żywioł miejski, bądź co bądź odegrywał ważną rolę w Rzeczypospolitej i wpływał na jej losy, choćby przez to właśnie, że nie wzmógł się do tego znaczenia, jakie zająć był dla korzyści ogólnej powinien. I wtedy zresztą, gdy miasta nasze nie odegrywały roli wybitnej, odbijał się na nich jaknajdokładniej stan rzeczy w państwie, i tu może najjaskrawiej występowały wady i braki naszej dziejowej przeszłości.

Nim jednak przyszły historyk zobrazuje dokładnie dzieje miast naszych i żywiołu miejskiego, potrzebne są monografie pojedynczych grodów, które posłużą dopiero za materjał do tych dziejów.

Jedną z takich monografii dał nam właśnie p. Hauser. Praca cała dzieli się na dwie części: historyczną i statystyczną. W pierwszej opisuje nam autor przedewszystkiem archiwa przemyskie, których jest siedem; z nich zaś starożytne archiwum miejskie, dzięki uchwale rady z 1874 i benedyktyńskiej pracy p. Mieczysława Błażowskiego jest starannie uporządkowane i rozklasyfikowane. Archiwum to pozwala nam wejrzeć dość szczegółowo w wewnętrzne dzieje miasta, a dzieje te służyć mogą poniekąd za typ histo-

rycznych losów naszych grodów. Zapoznajemy się tu z ustrojem miejskiego samorządu, z organizacją cechów, stosunkiem miast do państwa i innych stanów, staje nam przytem przed oczyma cały historyczny przebieg losów Przemyśla.

W końcu XV, w. XVIym i początku XVII w., miasto nasze stoi u szczytu zamożności. Wraz z ogólną pomyślnością kraju kwitnie przemysł i handel, rozwi a się samorząd, w parze zaś z t m idzie oświata. Żywioł niemiecki zlewa się zupełnie z polskiem mieszczaństwem; mieszczanie, nie tylko umieją czytać i pisać, lecz chętnie nawet uczone księgi czytają Z początkiem XVII w. zmienia się obraz zupełnie. „Im bliżej XVIII w. tem więcej upada oświata w mieście, znajdujemy coraz mniej rajców i ławników, umiejących się podpisać, na końcu zaś pomimo szkoły jezuickiej w mieście, z której korzysta wyłącznie prawie szlachta, ciemnota panuje w mieście ogólna, gdyż burmistrz rajca albo ławnik umiejący czytać, należy do osobliwości.“ „Pokorna“ suplika miasta J. K. Mci Przemyśla na sejmik Wiszniebski spisana, podaje nam następujące przyczyny upadku miasta: a) zniszczenie przez wyderkafy; b) posiadanie i poodbieranie kamienic in suam possesionem przez różnych Ichmościów szlachtę i księży; c) ciężkie pogłówne; d) calamitates (t. j. różne klęski jak pożary, napady nieprzyjaciół i przechody wojsk. e) rozbieranie pustych kamienic do klasztorów przemyskich sine consensu miasta i owszem propria auctoritate. Miasto chyli się szybko do upadku. Konskrypcja z r. 1660 wykazuje jeszcze 2662 dymów, w r. 1700 znajdujemy już ich tylko 130. Natomiast wzrasta liczba klasztorów i kościołów: w wieku XVII zubożały Przemyśl posiada 17 kościołów i cerkwi, oraz 10 zakonów....

Wyznać należy, że w tym upadku miasta, żydzi, zajmując według ówczesnych wyobrażeń i stosunków, odrębne, wyjątkowe stanowisko, odegrali rolę polipa, który rozkładający się organizm miejski do szpiku przegryzał. W r. 1542 znajdujemy w Przemyślu tylko 18 rodzin żydowskich, liczba ta jednak szybko się zwiększa, nie wciela jednak oczywiście do chrześcijańskiego ówczesnego grodu, lecz wyosabnia i zakłada osobne „żydowskie miasto Przemyśl“ — miasto w mieście. Z natury przytem rzeczy, żydzi nie tylko wyosobniają się, lecz starają się uchylać o ile można, od ciężarów miejskich; podkopują przytem ówczesny przemysł i handel miejski, oparty na przywilejach i cechowej organizacji, uzyskując na to u władz wyższych osobne przywileje. Nie zwalamy tu całej winy na żydów, widzimy tylko, jakie skutki pociągnęło za sobą postawienie obok siebie dwu odrębnych i odrębnie uprzywilejowanych organizmów, które musiały prowadzić z sobą zaciętą walkę o byt. W tej wewnętrznej walce żydzi zwyciężyli. W 1663 r. znajdujemy już tylko 11 kupców chrześcian, w 1740 nie ma już ani jednego.

Monografia p. Hausera ułożona jest nader starannie — że jest pouczającą, widzą czytelnicy z powyższych choćby wyjątków.

E. R.

Przegląd muzyczny.

Cisza — a muzyka, to zdaje się dwa wzręcz przeciwne pojęcia. A jednak w naszym świecie muzycznym panuje ta cisza, albo jak mówi p. Mikuli idealne pianissima, których jednak niestety nikt nie słyszy. Jeżeli nie zlituje się jaki obcy muzyk nad... własną kieszenią, i nie zapała szlachetną chęcią pozbawienia naszej publiczności kilkuset guldenów, ograniczeni jesteśmy jedynie na obowiązkowe koncerta Towarzystwa muzycznego, produkcyj bowiem amatorskich, których u nas nie brak, nie można traktować na serjo. Ponieważ p. Ondrziczek i towarzysze dawno już bawią w Pradze, a żaden z innych gości do nas nie zawitał, rozpoczynamy rubrykę poświęconą muzyce, jak to było do przewidzenia — pierwszym w obecnym sezonie, a czwartym za rok 1881/2 koncertem Towarzystwa muzycznego. Oto referat naszego sprawozdawcy:

Rozpoczęto go znaną we Lwowie symfonią Rebera (es dur), wykonaną tym razem nienagannie przez orkiestrę Towarzystwa. Następnie p. Gerbicz odśpiewał z towarzyszeniem orkiestry kompozycję solową dyr. Mikulego „O salutaris hostia“. Utwór ten napisany w stylu poważnym, jak tego zresztą wymagał jego charakter i przeznaczenie, odznacza się przedewszystkiem nader wdzięczną instrumentacją. Pan Gerbicz, jakkolwiek dysponował głosem swobodnym i śpiewał czysto, przecie wiele jeszcze pozostawił w wykonaniu do życzenia, co głównie przypisać należy tej okoliczności, że kompozycja wspomniana wymaga koniecznie nadzwyczaj silnego, świeżego i rozległego głosu tenorowego.

Jako numer trzeci koncertu, zapowiedziały afisze produkcję na organach z 2 klasycznych kompozycyj, mianowicie z adagia ze sonaty a-mol, Mendelsohna-Bartholdy, i J. S. Bacha preludium i fugi (a-moll). Obydwa utwory wykonał p. Przibik, kapelmistrz orkiestry teatralnej, a wywiązał się z trudnego zadania tak znakomicie, że zupełnie zasłużone były huczne trzykrotne oklaski, któremi zachwyceni słuchacze nagrodzili mistrzowskiego organistę. Gra p. Przibika łączy w sobie skończoną technikę z głębokiem poczuciem artystycznem: interpretacja jego jasna i porywająca, prowadzenie tematów równe i wyraźne, precyzja w pasażach znakomita, akcentowanie odpowiednie.

W dalszym ciągu odśpiewał chór męzki z akompaniamentem 4 waltorni „Wiosnę“ Goldmarka. Śliczny ten utwór słyszeliśmy już minionego roku — w wykonaniu jego i tym razem dawał się czuć brak tenorów w chórze Towarzystwa muzycznego.

Na zakończenie wykonano „Marsz“ ze mszy koronacyjnej Cherubiniego, i „Pavane,“ nader charakterystyczny taniec z XVI wieku. Pierwszy, jakkolwiek utwór klasyczny i wykonany został zadowalająco, nie zrobił jednak należytego wrażenia, będąc tylko fragmentem, wyrwanym z wielkiej całości.

W.

ZIARNKA.

Ostatni tydzień przyniósł nam fakt, który rozbrzmiał szeroko po całym kraju. W chwili, gdy poprzedni numer naszego pisma był już wydrukowany, Matejko ofiarował obraz swój „Hołd pruski“ na ozdobienie jednej ze ścian Wawelu, który „ma być odnowiony i przemieniony na rezydencję monarszą.“ Za ten czyn wyprawili mu posłowie sejmowi objad, a tegoż dnia wieczorem odbył się we Lwowie na jego cześć pochód z pochodniami. Ofiara pozostaje ofiarą, jednakowoż nasuwa nam się uwaga, że w ten sposób arcydzieło Matejki będzie tak odosobnione i nieprzystępne dla ogółu. Wielki dar Siemiradzkiego, uczyniony w chwili serdecznego zapału, zainaugurował równocześnie urządzenie galerji narodowej w Sukiennicach. Śladem mistrza Henryka poszło kilkudziesięciu innych artystów, a wszystkie te dary zebrane razem, byłyby może już wkrótce doprowadziły do utworzenia muzeum publicznego. Proszony w swoim czasie Matejko o przyczynienie się darem jednego z dzieł swoich na rzecz galerji w Sukiennicach, przyrzekł to uczynić, ale rozmyślił się z czasem, i przeznaczył „Hołd“ do jednej z sal Wawelu...

* * *

Dar Matejki uroczyście nastroił naszą prasę Podniesiono diapazon o oktawę wyżej od zwykłego tonu, i zaśpiewano dyszkantem... górnego stylu. I śpiewała też nasza prasa wszystkiemi tonami górnego rejestru, przyczem oczywiście niejeden popełniła kiks, ale już takiego koguta nikt nie wyciął jak „Kurjer Warszawski“, znany właśnie z sadzenia się na kwiecistą (!) stylistykę. Oto bowiem co pisze on o darze Matejki:

„Jak kwiat lotosu wyrasta on z morza goryczy, którą przepełnia widok dysonansów społecznych, trwożących oko myśliciela, widok

bezsilnych i nietwórczych, bo nie zgodnych i samolubnych krzątań się około roli, zmieniającej się snadniej, niż trzeba, w prosty ugór przy braku tych cnót obywatelskich, które krzepią płodność ziemi".

Więc się okazuje, że dar Matejki jest kwiatem lotosu, który wyrasta z morza (a notabene lotus w morzu nie rośnie). Morze to jest z goryczy, a tę gorycz przepełnia widok (!) dysonansów społecznych, które nie ucho ale oko myśliciela trwożą; oprócz tego przepełnia tę gorycz (bo snać chociaż przepełniona nie jest ona jeszcze pełną) widok (!) krzątania się około roli, która zmieniła się w ugór, z powodu iż niema w niej cnót obywatelskich, pełniących rolę nawozu. Ten który widział takie morze, mógłby zaprawdę poświęcić się dla społeczeństwa i pełnienie owej roli przyjąć na siebie. Gorycz przestałaby się przepełniać widokami, a publiczność nie czytałaby takich kołowacizn literackich.

* * *

Wydział lwowskiej Czytelni akademickiej wydał odezwę do młodzieży uniwersyteckiej, w której nawołując ją do liczniejszego niż dotąd zapisywania się do tego ogniska, następującemi słowy maluje obecne usposobienie tej młodej garści naszego społeczeństwa.

„Dziwna obojętność młodzieży dla celów, rwących polskie społeczeństwo do rozwoju i odrodzenia.... ospałość i zapoznanie potrzeb solidarnego łączenia się w jedno potężne ciało — wszystko sprawiło, że Czytelnia straciła cechy ogniska, że pomawiać można młodzież akademicką lwowską o brak przewodniej idei, brak jasno wytkniętego celu...."

Do tej dyagnozy, dokonanej przez samą młodzież, nic dodać nie potrzebujemy, zamiast więc roztaczać jeremiaszowe żale, zapytajmy raczej — co wyprowadzić może młodzież z tej „obojętności dla celów, rwących polskie społeczeństwo do rozwoju i odrodzenia," co dać jej może „ideę przewodnią i cel jasno wytknięty?

Nie dla usprawiedliwienia młodzieży, lecz dla uzupełnienia tylko obrazu winniśmy dodać, że tak trafnie przez wydział Czytelni odmalowany nastrój młodzieży akademickiej jest odbiciem stanu naszego społeczeństwa, nie zupełnie więc słuszny jest zarzut, jaki czynią autorowie odezwy, że młodzież nie podąża za celami, „rwącemi polskie społeczeństwo po drodze odrodzenia i rozwoju."

Faktem jest, że polskie społeczeństwo w swej nietylko młodej lecz i dojrzałej części (a mamy na względzie głównie stosunki tutejsze) — nie rwie się wcale obecnie ku swemu odrodzeniu, i nie bieży zbyt rączo ku celom rozwoju. Dawne hasła straciły swą moc odradzającą; ci, którzy sztandar ich nieśli kiedyś wysoko, ostygli, poszli po innych drogach; gromkie dawniej i potężne hasła stały się wytartemi frazesami, cele mgłą się zasnuły i zblakły.

Nie ma więc za kim iść nasza młodzież — czyż ma ona jednak gnuśnieć w bezmyślności i ciasnym tylko hołdować widokom? Nie — młodzież sama z siebie wytworzyć winna siłę młodą i świeżą, która całe społeczeństwo do nowego życia pobudzi. Ona sama winna być tym ożywczym strumieniem, który rozniesie po arterjach społecznych krew młodą i świeżą, co przyspieszy zwolniałe tętno naszego życia.

Ażeby jednak młodzież spełniła to zadanie, które się jej z prawa natury należy, nie wystarczy młodość tylko i zapał. Nie wystarczy! Młodzież winna podnieść nowe hasła, ogrzać je swem ciepłem, dać im ciało i krew, wynieść na swych barkach — wtedy dopiero ona „porwie" za sobą lepsze siły całego społeczeństwa.

Sztandar nowych idei! Idee żyją wraz z społeczeństwem: rodzą się, dochodzą swej pełni, więdną wreszcie i starzeją się — ponieważ jednak społeczeństwo nie umiera, idee więc społeczne nie umierają, lecz odradzają się tylko, odmładzają, rozwijają. Młodzież, to warstwa, w której społeczeństwo odradza się, rośnie, rozwija — tu więc i idee społeczne nabierają swej siły żywotnej. Trzeba tylko żeby młodzież podniosła i ukochała nowe idee. „Młode wino nie leje się w stare miechy."

* * *

Pewien początkujący autor chiński napisał utwór p. t. „Thea, czyli małżeństwo w Chinach", rzecz tak słabą, że żaden dyrektor teatru w jego ojczyźnie, nie chciał jej przyjąć do grania. Nie dość na tem; jeneralny prokurator państwa niebieskiego, dowiedziawszy się, że niefortuny autor „popełnił" utwór przynoszący hańbę całej chińskiej literaturze, powołał go do siebie, i oświadczył kategorycznie, że mu każe podług narodowego zwyczaju brzuch rozpłatać, — a uwolni go od tej kary chyba wtedy, jeżeli uda mu się ten utwor przedstawić w Europie, i w ten sposób zemścić się na nienawistnych cywilizatorach. Grać to w Europie, czego w Chinach przyjąć nie chciano?— rzecz trudna — źle będzie ze szlachetną częścią autorskiego ciała, na którą zagiął parol prokurator jeneralny. Autor chodził jak struty, wychudł, zbladł, warkocz mu posiwiał. Wtem spotyka znajomego cudzoziemca, i opowiada mu swe troski. Europejczyk przeczytał „Theę" i roześmiał się na całe gardło. „Prawda że wszystko stracone?" zawołał z rozpaczą autor. „Gdzież tam — odrzekł cudzoziemiec, u nas w Europie przedstawiają jeszcze większe niedorzeczności. „Kapelusz bandyty", „Apajune", ba nawet, „Jour fixe". Wszystko da się zrobić". Zacny człowiek przełożył „Theę" na język francuski, przywiózł do Europy, i nieszczęśliwy autor chiński został ocalony. Co jednak najdziwniejsza, że Lecoq, ów mądry Lecoq, kompozytor „Madame Angot", dał się ubrać w takie libretto, i dorobił doń muzykę.

I najwięksi ludzie mają chwile dziwnej „zakołkowaciałości" umysłu. Lecoq wziąwszy się do roboty, wkrótce się przekonał, że popełnił coś niedorzecznego, żal mu jednak było rozpoczętej pracy. Skończył— ale jak skończył? Oto ze starych własnych i cudzych motywów zrobił jakąś mięszaninę, lekką, bo inaczej pisać nie umie, ale pozbawioną głębszej wartości, i puścił w świat swoje dzieło. Oto geneza, jak powstała przedstawiona u nas we czwartek po raz pierwszy operetka, geneza, która uwalnia nas od zdawania sprawy z tej sztuki. Notujemy tylko, że personal operetkowy starał się — jak mógł zrobić coś z „Thei", nieudało się jednak, jakże bowiem nalewać z próżnego! Jedyny numer z całego przedstawienia, który zasługuje na wyszczególnienie, to walczyk kapelmistrza p. Przibika, ofiarowany p. Skalskiej, a wybornie przez nią—jako wkładka—odśpiewany. Utwor ten odznacza się melodyjnością, misterną koloraturą i werwą. Lekki jak pianka, a musujący jak szampan. Pani Skalska odniosła tryumf prawdziwy.

* * *

Przed kilku dniami rozeszła się przez Warszawę wieść o śmierci Ignacego Kalicińskiego, który zmarł w Lublinie, podczas przedstawienia w garderobie teatralnej. Skon Kalicińskiego zasmucił wszystkich tych, którzy go znali nietylko ze sceny, a umieli w nim cenić zacny charakter, przyjaźń koleżeńską i poczciwe a szlachetne pojęcie sztuki Ignacy Grzymała Kaliciński urodził się dnia 14 grudnia 1828 r. we wsi Cebrze w Królestwie polskiem, uczęszczał zaś do szkół w Krakowie. Kiedy w r. 1845 Chełchowski przejeżdżał przez Kraków z zamiarem zorganizowania trupy teatralnej, zaangażował Kalicińskiego, który przy pierwszych zaraz występach zjednał sobie sympatję grą inteligentną i młodzieńczym zapałem.

W skutek tego Kaliciński wezwany został wkrótce do Lwowa, gdzie wystąpił z nadzwyczajnem powodzeniem 9. kwietnia 1843 w roli Robina („Pamiętniki Szatana"), a następnie w Augiera „Gabryeli," przełożonej umyślnie dla niego przez Walerjana Kalinkę. Za dyrekcji Chełchowskiego był już ś. p. Ignacy rzeczywistym reżyserem sceny lwow—

skiej mimo to, że Szczęsny Starzewski pisał się reżyserem na afiszach, za dyrekcji Nowakowskiego i Smochowskiego grywał stale role bohaterów i pierwszych amantów, chociaż próbował się z niemałem powodzeniem także w rolach serjo-komicznych.

Z objęciem dzierżawy teatru Skarbka przez Miłaszewskiego, Kaliciński opuścił scenę lwowską i występował początkowo w Poznaniu pod dyrekcją Lecha Nowakowskiego, a następnie z trupą przez siebie zorganizowaną grywał w mniejszych miastach W. księztwa. Od lat kilku po występach gościnnych we Lwowie przeniósł się do Kongresówki i tam występował w towarzystwie Teksla.

Zmarły miał wiele warunków fizycznych i był w całem tego słowa znaczeniu inteligentnym artystą. Deklamacja jego była zawsze akcentowana prawidłowo, i odznaczała się wielką siłą. W rolach bohaterskich był Kaliciński często niezrównanym, w serjo-komicznych miał wiele humoru, a nawet lekkości, przedewszystkiem zaś był, co rzecz nie tak częsta, człowiekiem wielkiego charakteru.

Tembardziej więc zadziwiło nas, że na żałobnem nabożeństwie za Kalicińskiego prócz kilku młodszych artystów nie widzieliśmy zbyt wielu reprezentantów sceny lwowskiej, którzy snać zapomnieli o dawnym towarzyszu.

* * *

W krótce, jak to już zapowiedzieliśmy, będziemy się tu porozumiewać pomiędzy sobą za pomocą telefonu.

Dowiadujemy się właśnie, że kolega nasz i dyrektor tutejszego zakładu telefonów, p. Władysław Dunin urządza biuro centralne w gmachu teatralnym (wchód od placu Gołuchowskich, 3cie piątro, drzwi Nro 75) i że z końcem bieżącego miesiąca będą już mogli Lwowianie posługiwać się tym nowym środkiem komunikacyjnym.

ZAPISKI.

Literatura.

* „Kronika rodzinna“ zapowiada druk listów Mickiewicza, pisanych z podróży po Rosji do Ant. Edw. Odyńca, który przebywał naówczas w Warszawie. Listy owe wśród późniejszych wypadków zatracone i uważane już za całkiem przepadłe, odszukał niedawno i uratował p. Władysław Górski. Ma to być wielce ciekawa karta dziejów wewnętrznych literatury romantycznej przed rokiem 1830.

* Z dniem 1 września ubiegł termin nadsyłania prac na konkurs dramatyczny w Krakowie, i ubiegania się o nagrodę za najlepszy dramat ludowy osnuty na tle dziejów Sobieskiego i odsieczy Wiednia, (nagrodę w kwocie 500 zł. złożyła ks. Zuzanna Czartoryska i p. St. Kożman) Nadesłano ośm utworów. W tych dniach odbyło się pierwsze posiedzenie komisji konkursowej; nie długo zapewne będziemy czekać na rezultat.

* Redakcja „Kurjera Codziennego“ ogłasza konkurs na napisanie nowelki. Rozmiary tej pracy nie powinne przenosić trzech fejletonów „Kurjerowych“. Autor, którego praca uznaną zostanie za najlepszą, otrzyma rs. 100 i 20 ogzemplarzy odbitki.

Termin nadsełania prac naznaczony do dnia 15 listopada b. r.

* Z początkiem listopada b. r, zacznie we Wiedniu pod redakcją p. G. Smólskiego wychodzić nowy tygodnik polityczny w języku niemieckim p. t. „Reform“, który w szczególności polskim sprawom i interesom będzie poświęcony. Obok „Reform“ wychodzić będzie jeszcze, jako uzupełnienie tejże, literackie pismo „Slavische Rundschau“, które zamieszczać będzie sprawozdania z ruchu literacko-artystycznego całej Słowiańszczyzny, i nadto w celu popularyzowania słowiańskich autorów, będzie podawać w przekładzie niemieckim celniejsze utwory tychże.

* Albert Wolf, znany współpracownik „Figara“ zamierza ogłosić drukiem interesującą rzecz o życiu paryskiem w ostatnich 25 latach. Książka rozpada się na dwie części, pierwsza traktuje życie paryskie pod cesarstwem, druga opisuje Paryż w czasie republiki.

* Interesujące dzieło Edmunda de Amois o Marokku, ozdobione licznemi a prawdziwie artystycznie wykonanemi illustracjami, wyszło świeżo w przekładzie włoskim, dokonanym przez Schweiger-Lerchenfelda. Tłumacz niemiecki uzupełnił dzieło mnóstwem dodatków treści geograficzno-historycznej, i dołączył dwa rozdziały oryginalne „Południowe Marokko“ i „Wojna Marokka z Hiszpanią w r. 1860.“ Wydanie jest bardzo eleganckie, a oprawa dzieła nader oryginalna, wykonane jest w guście wschodnim. W obec interesu jaki w ostatnich czasach obudza południowa Afryka, dzieło to zjawia się szczególnie na czasie.

Teatr i Muzyka:

* Artyści teatrów warszawskich postanowili z okazji jubileuszu Żółkowskiego, utworzyć stypendjum imienia tego znakomitego komika. Władze aprobowały projekt, i zaczęto zbierać składki.

* Panna Marja Deryn̈żanka wyjeżdża w tych dniach na występy gościnne do Pragi, gdzie tak gorącego za pierwszą bytnością doznała przyjęcia.

* Znany lwowskiej publiczności komik p. A. Linkowski, wraz z żoną zaangażowany został do warszawskiego teatru

* W czeskim teatrze w Pradze przedstawiono w tych dniach nową operę uzdolnionego kompozytora, Antoniego Dworzaka p. t. „Dymitrij“. Libretto do tej opery napisała pani Czerwinka, córka Riegera, i osnuła je nadziejach fałszywego Dymitra. Autorka spożytkowała po części dramatyczny fragment Schillera, po części zaś dramat Mikoweca. Oprócz treści oryginalna muzyka Dworzaka ma sprawiać wielkie wrażenie, szczególnie w akcie pierwszym i czwartym.

* Znakomity komik wiedeński Knaak wyjechał 8 bm. z Wiednia, udając się na występy do Ameryki.

* Towarzystwo artystów dramatycznych zwanych „Die Meininger“ występuje obecnie w Berlinie w „Victoriatheater“, z niemniejszem jak gdzieindziej powodzeniem. Przedstawienie „Powieści Zimowej Shakespeara prawdziwie zachwyciło publiczność.

* Jan Becker, założyciel i przewódca sławnego kwartetu florentyńskiego, postanowił założyć w Monachium szkołę dla skrzypków, w zastępstwie zaś swojem wysyła w podróż artystyczną dzieci swoje Janinę, Jana i Hugona, którzy utworzą trio wiolinowe.

* Jan Strauss przenosi się z Wiednia na stałe mieszkanie do Paryża, i sprzedaje z tego powodu zamek swój Schönau pod Baden.

* W Burgu wiedeńskim zamierza Dingelstadt w grudniu b. r. przedstawić „Fausta“ obie części, które będą się ciągnąć przez trzy wieczory z rzędu. W ten sposób cały „Faust“ pierwszy raz ujrzy światło kinkietów. Nieraz wprawdzie próbowano wprowadzić na scenę drugą część „Fausta“, ale rzecz nigdy nie przyszła ostatecznie do skutku, mimo to, że przedstawienia Fausta w obrobieniu scenicznem Laubego i Dingelstedta, miały ogromne powodzenie. Od czasu wprowadzenia Fausta na scenę wiedeńskiego teatru nadwornego, grali w niej główne role następujący artyści: w r. 1832 Fausta grał Löwe, Mefista Costenoble, w r. 1839 przedstawiał Fausta La Roche. W pierwszem przedstawieniu Fausta według inscenowania Laubego, wystąpili jako Faust i Małgosia, goście z Berlina państwo Wagnerowie, w przeróbce zaś Dingelsteta grał Mefista Lewinsky, jako Faust produkował się Hallenstein.

Sztuki piękne.

* „Hołd pruski“ Matejki został wystawiony w Wiedniu na widok publiczny w sali towarzystwa „Gartenbau-gesellschaft“.

* Na cześć Matejki Wydział Krajowy uchwalił stypendjum dla artysty malarza w kwocie 1000 zł. Stypendjum to będzie nosić nazwisko Matejki. Rozdawnictwo należy do niego, póki żyć będzie, potem fundacja ustaje.

* Krakowskie towarzystwo oświaty ludowej liczy podług ostatniego wykazu 1062 członków.

* Złota korona wykonana podług pomysłu Majki na obchód koronacyjny Matki Boskiej w kościele Karmelitów — wystawiona jest na widok publiczny w zakrystji te go kościoła.

* Na ogłoszonym przez krakowskie koło artystyczno-literackie konkursie (illustracja do „Baladyny“ wejście Kirkora,) pierwszą nagrodę w sumie 350 zł otrzymał rysunek nadesłany z Petersburga pod dewizą „Gopło“. Konkurujących było ośmiu, a wszystkie prace miały być piękne i staranne. Tem większy tryumf dla zwycięzcy konkursowego.

Treść.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, pod zarządem Leona Zubalewicza.

Perfumerye.

Rękawiczki.

Magazyn nowości i drobiazgowy

W. BYSTRZONOWSKIEGO

Lwów ul Halicka l. 18.

poleca świeży transport najtaniej

Chustki włóczkowe

po 1. 1.50. 2. 2.50. 3. 3.50. 4. 5. 6. zł.

Sznurówki francuzkie

ceny zniżone

1.20 1.50. 2. 2.50. 3. 3.50, 4. 5. 6. 8. 10 zł.

Łaskawe zamówienia załatwiają się odwrotną pocztą.

Krawaty.

wszelkie przybory do szycia i haftu.

Firma F. FIALA dziś A. FIALA następce

32 lat istniejąca

urządziła nową apreturę kapeluszów

według sposobu francuzkiego

poleca swoją **fabrykę** i **skład** kapeluszów filcowych w rozmaitych i najelegantszych fasonach w najlepszym gatunku, własnego wyrobu w wielkim wyborze i bardzo przystępnych cenach.

Kapelusze filcowe męzkie po 1 zł. 90, 2 zł. 50, 3 zł., 3 zł. 50, 4 zł., 4 zł. 50 i 5 zł.

Kapelusze filcowe dziecinne po 1 zł. 20, 1 zł. 50, 1 zł. 80 ct., 2 zł. i 2 zł. 50.

Cylindry własnego wyrobu lekkie i bardzo trwałe w najgustowniejszych fasonach od 3 zł. 50 do 5 zł. Także cylindry tak zwane **Adherend** od 5 zł. do 8 zł.

Wyrabiamy także kapelusze filcowe w najlepszym gatunku **a la Habig w Wiedniu** są one bardzo lekkie, ważą tylko 75 gramów i sprzedajemy je po 3 zł. 50 i 4 zł. 50.

Czapki podróżne i do polowania sukienne, jakoteż i filcowe.

Kapelusze strzeleckie w rozmaitych fasonach i różnych kolorach.

Szczególnie zwracamy uwagę szan. publ. na nasze **obówie filcowe** własnego wyrobu w najlepszych gatunkach i bardzo trwałe; do pokoju, do wyjścia, do podróży i do polowania.

Do odnawiznia przyjmujemy stare kapelusze i wykonujemy jak najprędzej.

Zamówienia wszystkie w naszym zawodzie wykonują się jak najrzetelniej i najakuratniej.

Dziękując przytem za zaufanie szanownej publiczności przez 32 lat, proszę także i nadal o łaskawe względy tejże, kreśląc się z wysokiem upoważaniem

Franciszek Fiala
zawiadowca handlu.

Odszczególnione pięcioma medalami zasługi i listem pochwalnym

za niezrówname środki

mianowicie:

ANTIŁENTTILIA

usuwa **piegi, opalenia słoneczne, plamy wątrobiane,** nadaje twarzy białość, delikatność i przejrzystość. Cena 2 złr.

WODA FIJOŁKOWA

nieporównany środek, usuwa z twarzy pryszcze, liszaje, trądzki, pierzchnienie i łuszczenie się skóry i wygładza zmarszczki, pory. Twarz odświeża i nadaje nieporównaną delikatność. Cena 1 złr.

MAGNOLINA

jedyny środek odświeżający płeć, skóra sucha, szorstka i zgrzybiała pod wpływem **Magnoliny** staje się miękką, przejrzystą i delikatną. **Magnolina** usuwa **czerwoność nosa**, niszczy **wągry**, t. j czarne punkciki, które najwięcej osiadają w okolicy nosa Cena tego znakomitego środka 1 złr. 50 ct.

WODA LILIJOWA

Plamy żółte, brunatne i ostudy z twarzy, szyi i piersi pod wpływem tej cudownej wody po kilkakrotnem użyciu zupełnie znikną. Cena 1 złr. 50 ct.

Orientalina czyli Pudr w płynie

nadaje twarzy prawdziwie naturalną twarz piękną i przyjemną białość, odświeża i konserwuje Cena 1 złr.

PUDR KSIĄŻĘCY BIAŁY

jest prawdziwym unikatem w sztuce kosmetycznej, nie zawiera bowiem w swym składzie ani bizmutu ani ołowiu, ani też żadnych metalicznych pierwiastków szkodliwych zdrowiu, a pomimo tego przyjemnie przylega do twarzy, nadaje śliczną, naturalną i bardzo przyjemną białość i delikatność Cena pudełka 1 złr.

PUDR KSIĄŻĘCY

cielisto-różowy dla blondynek i **cielisto-żółtawy** dla szatynek i brunetek po 70 ct., 1 złr. 20 ct. i 1 złr. 60 ct.

KREM ORJENTALNY BIAŁY

cielisto-różowy dla blondynek i **cielisto-żółtawy** dla szatynek. Kremy te czynią zadość wszelkim wymaganiom, nadają bowiem twarzy naturalną białość, delikatność i przejrzystość, a twarz martwa pokryta bruzdami, nierówno-szorstka, zostaje całkiem odświeżoną i młodzieńczą. Cena 1 złr. 20 ct.

PILIPTON

włosom siwym i wypłowiałym po kilkakrotnem użyciu przywraca piękny kolor — **PILIPTON** nie farbuje, lecz tylko odmładza włosy, który pod wpływem tego znakomitego środka odzyskują pierwotną barwę. Cena flakonu 1 złr. 50 ct.

WALENTIN

najsilniejsze wypadanie włosów w przeciągu dwóch tygodni wstrzymuje cebulki włosowe, wzmacnia i do wytwarzania i porostu włosów pobudza. Miejsca wyłysiałe nieprzedawnione pod działaniem tego środka pokrywają się pięknym włosem. Cały flakon 3 złr. Pół flakonu 1 złr. 60 ct.

NIGRETINA.

Po długiem doświadczeniu udało mi się wynaleść wyborny środek do natychmiastowego farbowania włosów na trwały i piękny kolor czarny lub ciemny; jest on zupełnie nieszkodliwy i w zastosowaniu bardzo prosty. Cena 1 złr. 2571 24-0 4

JAN IHNATOWICZ,

magister farmacji i chemik sądowy.

Nabyć można we Lwowie w fabryce ulica Kopernika l. 3, u pp.: Kozłowskiego, Hawranka, Henryka Müllera i Bystrzonowskiego, w Krakowie we Filji Sukiennice l. 20. w Brodach u Witkowskiego, w Buczaczu u Müllera, w Brzeżanach u Müllera, w Tarnopolu u Jamrogiewicza, w Stanisławowie u Macury, w Przemyślu u Nahlika, w Jarosławiu u Wisłockiego, w Samborze u Marescha, w Podhajcach u Karzykiewicza, w Stryju u Wysoczańskiego, w Kołomyi u Stenzla.